NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

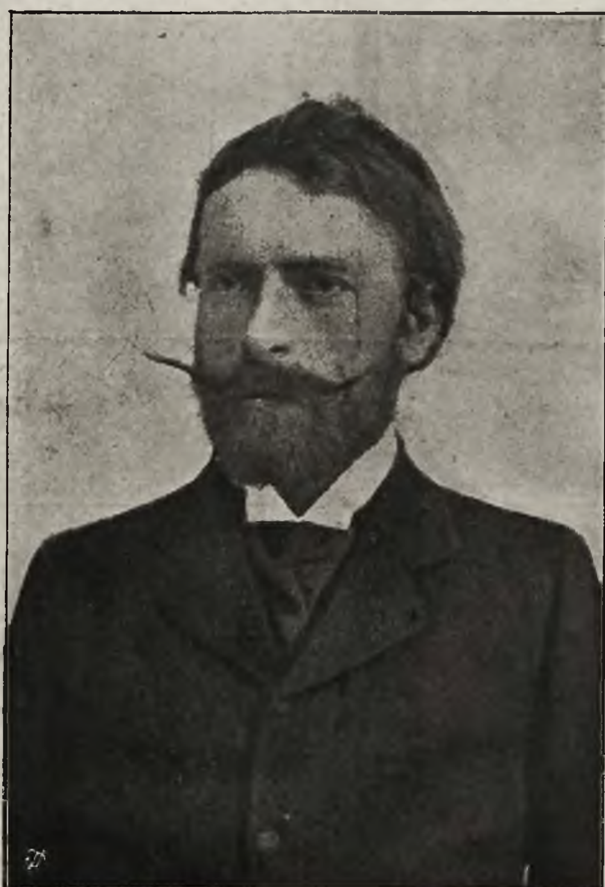
Rok IV. Kraków, 7 grudnia 1907. Nr. 49.

Śmierć Stanisława Wyspiańskiego.



Śmierć Stanisława Wyspiańskiego.

Spadkobierca duchowej spuścizny wielkich wieszczów narodowych, poeta i malarz zarazem, ge-



Ś. p. Stanisław Wyspiański.

niusz, który na nowe tory pchnął sztukę ojczystą i nowe drogi twórczości wskazał, człowiek, którego nazwisko szeroko rozbrzmiewało po całej Polsce, a nawet i za jej granicami było znanem, chluba i chwała narodu — Stanisław Wyspiański nie żyje!

Żałobna wieść o przedwczesnej śmierci poety obiegła już miasto nasze nad wieczorem dnia 28 z. m., budząc wszędzie żal i smutek i poczucie niepowetowanej straty, jaką społeczeństwo dotknięte zostało. Nam współczesnym trudno jest objąć cały olbrzymi zakres działalności zgasłego. Żadna dziedzina sztuki nie była mu obcą: malarstwo, rzeźba, architektura, sztuka stosowana, poezya, krytyka — na wszystkiem się znał i w każdym kierunku tworzył, celował zaś przedewszystkiem i zdobył sobie niespożytą sławę jako poeta i malarz.

Ś. p. Stanisław Wyspiański pochodził z artystycznej rodziny, ojciec jego był bowiem cenionym swego czasu rzeźbiarzem. Młody Stanisław wzrastał w atmosferze prawdziwej sztuki i wkrótce poczuł w sobie bożą iskrę natchnienia. Dzieciństwo swoje spędzał u stóp Wawelu w historycznym domku Długosza przy ulicy Kanoniczej, tu mu szumiały kasztany Wawelu i stary dzwon Zygmunta przemawiał do jego serca i umysłu; motywa i natchnienia, które potem cudownie umiał zakląć w barwy i słowa.

Pierwsze studya odbywał Wyspiański w Krakowie, tu ukończył studya gimnazyalne w gimnazyum św. Anny w r. 1888, nie przestając jednak kształcić się w umiłowanym przez siebie przedmiocie — w rysunkach. To też nawet zapisawszy się na uniwersytet na wydział filozoficzny, nie przerwał swych artystycznych studyów, ale równocześnie uczęszczał do szkoły sztuk pięknych, kształcąc się pod kierunkiem mistrza Matejki. Zapewne nikt wtedy nie przeczuwał, że będzie Wyspiański godnym jego następcą i sam kiedyś w tej samej akademii zajmie godność profesora.



Żona ś. p. Wyspiańskiego wraz z dziećmi.

Ukończywszy chlubnie akademię malarską i odsłużywszy obowiązkowy czas w wojsku, udaje się Wyspiański na dalsze studya artystyczne do Paryża, skąd po półtorarocznym pobycie powraca znowu do podwawelskiego grodu. Tu wziął czynny



Krypta w podziemiach kościoła XX. Pijarów, ze zwłokami ś. p. Wyspiańskiego. *(Zdjęcie dokonane przez naszego redakcyjnego fotografa o godzinie 10-tej w nocy).*

a wybitny udział w restauracyi kościoła Maryackiego, którego część malarską prowadził Matejko, a architektoniczną Tadeusz Stryjeński. Równocześnie pracuje Wyspiański w domu, a z pracowni jego wychodzi cały szereg wspaniałych płócień i witraży, z których zwłaszcza jeden karton „Śluby Jana Kazimierza“ zdobył mu sławę i postawił w rzędzie pierwszorzędnych współczesnych polskich malarzy.

Ten obraz ma w twórczości Wyspiańskiego i drugie, donioślejsze jeszcze znaczenie. Gdy bawił powtórnie w Paryżu, przyszło na myśl znakomitemu malarzowi, by do „Ślubów“ napisać komentarz wierszem. I oto powstało pierwsze dzieło pióra, znakomitego potem autora „Wesela“. Od tego więc czasu nie ustawał już w literackiej pracy, która też dała mu o wiele większą, niespożytą



Młodzież akademicka wynosi na swych barkach trumnę ze zwłokami ś. p. Wyspiańskiego z kościoła Maryackiego.



Włościanie z Węgrzec, niosący wieniec uwity ze zboża.

sławę, aczkolwiek i jako malarz chlubnie zapisał się na kartach polskiej sztuki, która zawdzięcza mu takie arcydzieła pędzla, jak witraż „Bóg Ojciec“ w kościele franciszkańskim w Krakowie i słynne kartony: św. Stanisław, Kaźmierz Wielki i Bolesław Śmiały. Do tych kartonów pisze równocześnie prześliczne poematy. I tak powstały rapsody: „Kazimierz Wielki“ i „Bolesław Śmiały“.

Do zenitu sławy doszedł jednak Wyspiański jako dramaturg. Nowe pojęcia, nowe formy, odrębna a potężna symbolistyka przy nieporównanej malowniczości i grupowaniu — cechują jego genialne utwory, w których najcelniejszym jest bez kwestyi „Wesele“ i „Warszawianka“. Nie ustając w malarskiej pracy, w każdym roku prawie obdarza Wyspiański znakomitem jakiemś dziełem polski teatr. Tak powstały dramaty: „Legion“, „Wyzwolenie“, „Achilleis“, „Akropolis“, „Bolesław Śmiały“, „Powrót Odyssa“, „Skałka“, „Cyd“ i ostatni: „Sędziowie“. Na napisaniu dramatu nie kończyła się jednak praca mistrza, sam bowiem je reżyserował, dawał szkice dekoracyj i kostyumów, akcesoryów i mebli.

W pośmiertnej tece pozostało jeszcze kilka utworów dramatycznych przedwcześnie zgasłego genialnego poety-malarza. Wyspiański był niezwykle muzykalnym i sam przeważnie komponował melodye do swych prac scenicznych, powierzając tylko zawodowemu muzykowi instrumentacyę.

Zarówno pracowity jak genialny, pragnął być czynnym na każdem polu, w każdej dziedzinie, gdzie jego praca mogłaby przynieść pożytek społeczeństwu. Projektował urządzenia nowych gmachów, jak np. domu lekarskiego w Krakowie, popierał, zachęcał i sam brał czynny udział w stosowanej sztuce, a nawet w podzięce za owocne a bezinteresowne ozdabiania został wybrany honorowym członkiem towarzystwa „Polska sztuka



Rodzina i przyjaciele za trumną ze zwłokami śp. Wyspiańskiego



Rydwan ze zwłokami poety obok kościoła P. Maryi.



Młodzież akademicka z płonącemi pochodniami.

stosowana“. Od lat pięciu piastował godność profesora Akademii sztuk pięknych, a od r. 1905 był radcą miejskim.

Niestety! Potężny ten duch mieścił się w zbyt słabej, marnej powłoce cielesnej. Organizm, nurtowany już od dawna nieuleczalną chorobą, wyczerpany był ponadto nieustanną umysłową pracą. Niemoc postępowała szybko. Na bezwarunkowe żądanie lekarzy przewieziony został z Węgrzec, gdzie posiadał willę, do Krakowa i tu umieszczony w domu zdrowia prof. Rutkowskiego.

Zacnego, chwalebnego żywota dokonał dnia 28 listopada o godzinie 5-ej po południu. Zmarł otoczony przyjaciółmi, którym zlecił opiekę nad żoną i sierotami, i w ręce których zdał całą swą literacką spuściznę. Umierał z całą świadomością swego końca i silną wiarą w przyszłe życie, przytomnie i pogodnie przyjąwszy nie na długo przed zgonem św. Sakramenta.

Wieść o zgonie wielkiego poety okryła żałobą całą Polskę. A pogrzeb jego zamienił się w wspaniałą, imponującą swą powagą i nastrojem manifestacyę, w której wzięli udział przedstawiciele całego społeczeństwa polskiego, przedstawiciele wszystkich trzech zaborów. W poniedziałek rano przeniesiono trumnę, kryjącą zwłoki ś. p. Wyspiańskiego z krypty kościoła OO. Pijarów do kościoła Maryackiego, gdzie odprawione zostało nabożeństwo żałobne. Równocześnie w Rynku oraz ulicach, któremi pochód żałobny miał podążyć na Skałkę, gromadziły się nieprzejrzane, nieprzeliczone tłumy publiczności, młodzież ucząca się, delegacye stowarzyszeń, robotnicy, wieśniacy. Po nabożeństwie zwłoki złożono na wysokim rydwanie, okrytym czarnym kirem i zaprzężonym w trzy pary koni, poczem pochód wśród śpiewu licznego kleru i żałosnego jęku dzwonów kościelnych, poprzedzany korowodem z pochodniami, począł posuwać się wolno wokół Rynku, następnie ul. Grodzką, Stradomską, Krakowską — ku Skałce.

Za rydwanem ze zwłokami kroczyła okryta żałobą wdowa po zmarłym poecie, grono najbliższych przyjaciół, marszałek kraju St hr. Badeni, prezydent miasta Krakowa dr. Leo, reprezentacya miasta Lwowa z wiceprezydentem dr. Rutowskim, posłowie, przedstawiciele instytucyi naukowych i artystycznych z wszystkich ziem polskich i tłumy publiczności. Około godziny 1-ej popołudniu pochód stanął na Skałce. Tam, wśród dźwięku dzwonów i pieśni żałobnej, złożono zwłoki śp. Wyspiańskiego w grobach zasłużonych, obok Asnyka, Pola, Lenartowicza.

Nieśmiertelnej pamięci Zmarłego cześć!

* * *

Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze, poświęconym pamięci śp. Wyspiańskiego, przedstawia ostatnie chwile poety, którego otacza grono lekarzy i przyjaciół. Obok łoża po lewej klęczy ciotka gasnącego poety p. Stankiewiczowa, stoją zaś po prawej prof. dr. Nowak, p. Adam Chmiel, prof. dr. Rutkowski i prof. dr. Pareński. Zamieszczamy też portret Zmarłego, grupę, przedstawiającą p. Wyspiańską z dziećmi, wnętrze krypty OO. Pijarów ze zwłokami śp. Wyspiańskiego, oraz szereg zdjęć z pogrzebu, dokonanych aparatem redakcyjnym przez p. Lisa.



Fragment pochodu na Skałce; marszałek kraju hr. Badeni (1); wiceprezydent m. Lwowa dr. Rutowski (2); b. poseł I. Daszyński (3).



Wniesienie trumny ze zwłokami śp. Wyspiańskiego do grobów Zasłużonych na Skałce.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

2 (Ciąg dalszy).

— Ani myślę — wzruszył ramionami — za wielkim jestem panem... woźny pójdzie — i zajrzawszy na kurytarz, dał woźnemu polecenie. Nie wiesz Stachu, kto wyjeżdża na linię w sprawie lipcowego awansu?

— Inspektor Lerche jako przewodniczący komisyi.

— O do tego trudno trafić — westchnął Wilmański.

— Chyba przez kobietę — zamruczał Borski.

— Co pan mówisz!? — zdziwił się Stach.

— Prawdę... znam go, byliśmy razem na stacyi.

— No, no, i ktoby się spodziewał, taki świętoszek...

— Tak panie i święci ulegają kobietom, cóż dopiero niedoszły ksiądz — skończył drwiąco Borski.

Odezwało się lekkie pukanie. Sądzono, że to nowy gość, bo w czasie nieobecności naczelnika składano sobie wizyty, w tem drzwi się otworzyły i do biura wejrzała twarz poważna, surowa inspektora Lerche.

— Czy jest pan oficyał? — spytał wchodząc do pokoju, średniego wzrostu, lekko pochylony, ubrany w ciemną marynarkę mężczyzna i spojrzał po zebranych badawczo a bystre oczy spoczęły na Stachu.

Ten, widząc pytający wzrok inspektora, zmięszał się i niepytany jął się usprawiedliwiać:

— Przyszedłem po akta...

— To woźny załatwia — przerwał mu surowo.

— Nie było go — bąknął — i cicho wysunął się z pokoju.

— Czy jest pan naczelnik, pytam po raz drugi — powiedział szorstko.

— Wyszedł... zaraz wróci — odpowiedział Borski, podnosząc głowę pochyloną nad papierami.

— U kogo jest liczba 19.402?

Po krótkiem milczeniu odezwała się cicho Trawecka:

— U mnie, panie inspektorze — i ujęła w białą rękę plik papierów.

— Gotowe?

— Tak jest — bąknęła.

Zbliżył się do jej stołu a nachylając się nad papierami poczuł woń fijołków, wciągnął zapach i z pewną ciekawością spojrzał na manipulantkę. Podobały mu się bujne blond włosy, świeża zarumieniona twarz, usta małe, czerwone i biust dziewczęcy. Przesunął papiery, badał, porównywał, a przeczytawszy rzekł łaskawie:

— Porządna robota... pani ma dobre pismo... jak nazwisko?

— Janina Trawecka — podniosła na niego ciemno-błękitne oczy.

— Akta odesłać do mnie — powiedział tonem urzędowym i skinąwszy głową ledwie dostrzegalnie, zwrócił się ku drzwiom.

W tej chwili wszedł naczelnik, a ujrzawszy niespodziewanego gościa, zgiął się w pół w ukłonie:

— Ach, panie inspektorze, co pan rozkaże?

— Już powiedziałem — skinął głową i wyszedł.

Słodka i uprzejma twarz przełożonego przemieniła się w surową i chmurną. Wodząc oczyma po podwładnych spytał ostro:

— Czego chciał pan inspektor?

— Pytał o akta 19.402 — odpowiedziała Trawecka, wskazując na papiery.

Naczelnik przystąpił do stołu, starannie przejrzał akta i spytał po chwili:

— Mówił co?

— Kazał sobie przysłać.

— I nic więcej?

— Pochwalił porządną robotę — odezwał się Borski ze swego stolika.

— U mnie zawsze porządek — rzekł z odcieniem dumy i wszedłszy do siebie, zadzwonił i woźnemu kazał odnieść akta.

Po chwili służący wysłany po śniadanie, powrócił i poznał po minach, że przełożony już jest obecny. Cicho zbliżył się do Wilmańskiego i położył na stole przyniesione wędliny i bułki. Ten podzielił sumiennie wiktuały na trzy części, jedną owinąwszy w papier schował dla Stacha, drugą wręczył Borskiemu, a trzecią sam spożył. I znów zaczęła się robota ciężka i żmudna, bo niezależna od jakości i ilości pracy, lecz od ilości czasu przesiedzianego za stolikiem z piórem w ręku. Zdawałoby się, że ilość odrobionych „kawałków“ umożliwi swobodę pracownika, jeśli nie w ruchu, to w zajęciu umysłowem, lecz biuro kupuje i jedno i drugie. Jeśli szybko pracownik odrobił wyznaczoną robotę, daje mu się więcej, aby nie marnował czasu biurowego. I czas i praca przymusowa, wloką się jak wóz z ciężarem po grząskiem, lepkiem błocie.

Godziny mijały. Naczelnik i Borski pracowali dalej normalnie, obowiązkowo, bez pośpiechu i zatrzymywań się, jak woły dobrze w jarzmo włożone. Wilmański niecierpliwił się, to gorączkowo pisał, znów gryzł rączkę pióra i chmurnie spoglądał na zegarek, którego wskazówki posuwały się z niemożliwą powolnością. Trawecka siliła się na spokój i uwagę, lecz co chwila opadały ją smutne i przygnębiające myśli. Naczelnik przy kwalifikacyi nie zaniedba zrobić złej uwagi o jej zdolności. Popełnił niesprawiedliwość, gdyż za kilka minut byłaby skończyła pracę, ale czy taki pan dba o sprawiedliwy sąd... jeśli tylko może, to skrzywdzi. Poczuła głód i tem większy żal ogarnął ją do przełożonego, bo gdyby otrzymała większą pensyę, a należy się jej słusznie, mogłaby kupować sobie drugie śniadanie i w domu byłby większy dostatek. A tak liczyła na podwyższenie... Miała kupić sobie nowe trzewiki i przerobić sukienkę... no i w domu trzeba Jasiowi ubrania, gdyż to, co nosi, rozłazi się i co wieczór trzeba łatać i cerować. Ach ta wiosna! — westchnęła głęboko — jaka ona ciężka i kosztowna. Wszystko zimowe trzeba zmienić, schować, a skąd wziąć na nowe? wiosenne?

I wzbierała w niej gorycz do świata, do ludzi, do tego życia ciężkiego, w którem niedostatek, bieda i kłopot zmieniają się kolejno. I kiedy się to skończy? Chyba nigdy... Wprawdzie pan Florjan — myślała o lokatorze matki — mówi, że wkrótce skończy się wyzysk i niewola, a socyalizm zwycięży... ale to gruszki na wierzbie. Niechajby on był jeden dzień w jej położeniu, w tej kancelaryi, pod takim przełożonym, dopiero zrozumiałby życie....

Nareszcie wybiła godzina trzecia, godzina wolności i wyprzęgnięcia z jarzma.

Borski starannie wytarł pióro, zdjął perkalowy rękaw, złożył i wraz z piórem, ołówkiem, gumą do wycierania schował do szuflady. Porządkował papiery, a wszystko robił spokojnie, systematycznie. Wstał, przeciągnął się, ziewnął i prostował palce aż chrzęszczały.

Wilmański jeszcze przed uderzeniem trzeciej godziny zrobił porządek na biurku; dzwonił kluczykami, przejrzał się w lusterku, przyczesał, poprawił krawat i bębniąc palcami po blacie stołu, nasłuchiwał godziny, a skoro posłyszał pierwsze uderzenie, porwał się z krzesła i zaczął się ubierać, patrząc niecierpliwie w drzwi kancelaryi naczelnika, który pilnował zasady pierwszeństwa i rangi przy wychodzeniu z biura.

Trawecka z drobiazgową uwagą uporządkowała papiery, schowała pióra, poprawiła stanik, suknię, włosy, ubrała kapelusik, a będąc głodną czekała z niecierpliwością wyjścia przełożonego. Ten jednak, jakgdyby rozmyślnie, kaszlając, postękując, ubierał się w palto, wreszcie wyszedł ze swego pokoju, spojrzał na podwładnych obojętnie, lekko skinął głową i zwolna opuścił biuro.

Pierwszy wyszedł Wilmański, podawszy rękę koledze i czule ściskając rękę Traweckiej, póki mu jej niecierpliwie nie usunęła. Już będąc na schodach przypomniała sobie o pozostawionym bukieciku. Szybko wróciła, a gdy zarumieniona z pośpiechu wyszła z gmachu na ulicę, ujrzała całą gromadę urzędników. Jedni szybko szli ulicą, inni rozmawiali, tamci wyznaczali sobie głośno miejsce spotkania, a patrząc na ich twarze, ruchy, słuchając ich głosu, doznawało się wrażenia, że ci ludzie przed chwilą zrzucili gniotący ich ciężar, że cieszy ich ulica, słońce, swoboda ruchów.

Trawecka wymijała ich szybko, nie zwracając ich uwagi, dopiero gdy przechodziła obok Wilmańskiego, dosłyszała wymienione swe nazwisko. Gdyby nie szła tak pospiesznie, zapewne posłyszałaby rozmowę Wilmańskiego z kolegami.

— Czy znasz ją? — pytano go.

— To nasza... manipulantka...

— Wcale niczego... próbowałeś szczęścia?

— Nie opłaci się — wzruszył Wilmański ramionami — ona kroi na małżeństwo, ale ja nie głupi — zaśmiał się sucho.

— A ma coś? — spytał jeden z towarzyszy, pokazując palcami ruch liczenia.

— To co na sobie — śmiał się głośno.

— Taka cnotliwa!? — zawołał wesoło kolega.

— Dyabli wiedzą... ale, ale... widzicie?—i Wilmański wskazał oczyma na inspektora Lerche, który w towarzystwie inżyniera kolejowego szedł ulicą, a spotkawszy Trawecką ukłonił się jej uprzejmie.

Poznał ją po bukieciku fijołków i gdy przechodziła rzekł tonem ojcowskim:

— Śliczne fijołki — uśmiechnął się przyjaźnie.

Zmięszana tą uwagą, zarumieniła się, oddała ukłon i przyspieszyła kroku.

— Czy znacie tę małą, inspektorze? — spytał inżynier.

— Od dzisiaj... Wiecie jak u Rammera zawsze duszno, aż do nudności i dziś ze strachem zaszedłem po akta, a tu zamiast znanego zaduchu...

— Spotykacie śliczną dziewczynę — uśmiechnął się inżynier.

— Nie to—zaśmiał się jowialnie — ale pachły fijołki.

— A ona wam nie pachnie? — poklepał inspektora po ramieniu.

— Nawet nie przypatrywałem się jej, bo i co mi z tego? Człowiek już za stary i za ciężki — westchnął.

— A jak się nazywa? — patrzał inżynier za oddalającą się — zgrabną ma figurę, chociaż ja wolę tęższe.

Inspektor rzucił okiem na Trawecką, skręcającą w boczną ulicę i odpowiedział obojętnie:

— Nazwiska nie znam, a na figury manipulantek nie patrzę... a wiecie ten wyjazd mój na linię jest nudny... zasypują mnie prośbami o protekcyę...

— A właśnie i ja do was mam prośbę — uśmiechnął się inżynier z przymusem.

— Ach, wy inżynierze, to rzecz inna... my swoi... o cóż idzie?

— Kuzyn mojej żony, Pasterski, jest osobowym kasyerem... a zdaje się, że na stacyi będzie lepsze miejsce... nie zapomnicie?

— Dajcie mi notatkę przed wyjazdem, bo nie ręczę za moją pamięć.

— Jutro wam dam i z góry wam dziękuję — uścisnął rękę.

— Niema za co... no i nie zapewniam was... może dyrektor, może kto inny ma już upatrzonego na tę posadę... ale postaram się.

— Jak zechcecie inspektorze, zawsze coś znajdziecie — uśmiechnął się przyjaźnie inżynier.

— Dla was, co będę mógł, zrobię.

II.

Przez małe, brudne, cuchnące podwórze, w którego głębi stała murowana oficyna, przeszła ostrożnie Trawecka i poczęła iść wąskiemi, lepkiemi od brudu i błota schodami na trzecie piętro. W klatce schodowej unosiły się zapachy kuchenne, przysmażone tłuszcze, zatęchłe pomyje, wyrzucone kości, gdyż drzwi tak z jednej, jak i z drugiej strony prowadziły do kuchen poszczególnych mieszkań.

Im szła wyżej, tem silniejszy stawał się zaduch i nieprzyzwyczajonych mógł przyprawić o mdłości, ale Janina zajmowała to mieszkanie na trzeciem piętrze od roku i miała czas zobojętnieć na te brudy i wyziewy. Na trzeciem piętrze skręciła na lewo i weszła do małej kuchenki, na razie pustej. Z następnego pokoju na odgłos otwieranych drzwi, zawołano głośnym, bezdźwięcznym głosem:

— Kto tam? Czy to Janinka?

Zamiast odpowiedzi, weszła do pokoju oświetlonego dwoma oknami, i składając kapelusz na łóżku, powiedziała tonem niecierpliwym:

— Głodna jestem... może mama mi da...

Matka, kobieta niemłoda, z twarzą prostacką, do której przylgnął wyraz chytrości, spojrzała na córkę niechętnie zblakłemi, jasnemi oczyma, leniwie poruszyła się na krześle i nie przestając szyć powiedziała oschle:

— Twój obiad w kuchni... weź sobie.

Janina spojrzała na matkę i tonem łagodnym spytała:

— Czy mama się gniewa?... Może nowy jaki kłopot?

— O, tych mi nigdy nie braknie — uśmiechnęła się gorzko. Jasiek gdzieś zgubił czy sprzedał książkę szkolną, Mańka rozdarła świeżo przerobioną spódniczkę, a Klarci odpadła podeszew. Czy to mało — narzekała — a ty matko gotuj, pierz, prasuj, rób za wszystkich.

— A ja czy nie pracuję? — powiedziała z żalem.

— Ty? — obrzuciła ją niechętnem spojrzeniem — co tobie za bieda? Wystroisz się i do biura, wielka mi robota — zaśmiała się drwiąco— ale stań ty przy kuchni, przy balii, susz sobie głowę jak nastarczyć wszystkiemu... to robota.

— Oddaję przecież wszystko.

— Co mi będziesz oczy wykłuwała, że oddajesz — obruszyła się — czy ty prosiłaś, chodziłaś, kłaniałaś się o to miejsce? I jeszcze mi wypomina!

— Ależ, nie wypominam mamo... — mówiła ciszej — bo posłyszy — wskazywała oczyma na dalsze drzwi.

— Cóż to znowu? Czy nie jestem u siebie?— podniosła głos—nauki będzie mi dawała! Patrzcie ją!... Idź jeść... Coś zanadto zależy ci na nim, ale ja na to nie pozwolę — zamruczała trochę ciszej.

Nic nie mówiąc poszła Janina do kuchni i usiadłszy na tapczanie, na którym sypiał jej brat, postawiła na stole garnuszek z postną kartoflanką. Zjadła trochę, ale zupa mdła, zimna nie smakowała jej. W małym rądelku były kluski, zeschnięte, ledwie letnie, spróbowała i odstawiła mimo głodu. Posprzątawszy, wzięła z półki chleb i ukroiwszy większy kawałek jadła ze smakiem.

— Janinko! a nie mówiono co w biurze o awansie?...

— Opowiadano, że jedzie inspektor Lerche na linię — zbliżyła się do matki.

— O, to człowiek nieużyty... znam go z czasów nieboszczyka...

— Czy może mogę pomódz mamie?

— Z ciebie Janko dobre dziecko — rozczuliła się — i gdybyś ty matki słuchała we wszystkiem, byłoby inaczej dzisiaj — westchnęła — weź spódniczkę Mani, poceruj... tylko starannie.

Zasiadły obie do roboty, a po chwili odezwała się matka:

— Już dwa lata siedzisz na tych sześćdziesięciu koronach, jak teraz nie podwyższą ci pensyi, chyba niema sprawiedliwości na świecie. A ty jak myślisz?

— Nie wiem mamo... ten Rammer jest zły i niesprawiedliwy.

— Umyślnie dali cię do jego biura, znają go... ale już ja pójdę do niego.

W umyśle Janiny stanął obraz wchodzącej do biura matki, w szeleszczących spódnicach, z twarzą surową... Widziała drwiące uśmiechy Borskiego i Wilmańskiego, słyszała gniewny i opryskliwy głos naczelnika Rammera, który nietylko odprawi matkę z drwinami, ale i na niej wywrze swój gniew.

— Moja mamo — prosiła — niech już do Rammera mama nie chodzi. Od niego nic nie zależy, a on taki przykry człowiek... jeszcze powie mamie coś nieprzyjemnego.

— A ja czy niemam języka?... Niech sobie gada, byle ci dał podwyżkę, bo już nie poradzę. Tylko oblicz... mamy ośmdziesiąt cztery koron... z tego ty bierzesz sześć, za mieszkanie dwadzieścia dwie, jeśli zapłacą lokatorzy— wskazała na przyległy pokój — zostaje na wyżywienie i ubranie pięciu osób pięćdziesiąt sześć koron... i z czego tu żyć? Poprostu ręce opadają, a zwłaszcza na wiosnę — oczy jej zaszły łzami.

— Eh, mamo — uśmiechnęła się — to samo mówi mama każdej wiosny i każdej jesieni i jakoś dajemy sobie radę.

— Tak ciężko nigdy nie było — wzdychała.

— I to mama zawsze mówi.

— Głupia jesteś — powiedziała zniecierpliwiona — może i mówiłam, ale zawsze liczyłam na stryja.

— A gdyby do niego się udać?

— Do niego?... Nie, nie można mu się naprzykrzać, bo gotów nas wydziedziczyć, a ma dom, ogród, pole, gospodarstwo.

— Możeby pojechać do niego?

— I za jakie pieniądze? — oburzyła się — a jeśli nic nie da? tylko daremny wydatek... Gdybyś miała rozum, byłoby dziś inaczej—westchnęła i z wyrzutem spojrzała na córkę.

— Lepiej nie mówmy o tem — powiedziała podrażnionym głosem — stary, brzydki... nie chcę go...

— A ty wolałabyś tego młodego, co groszem nie pachnie, a zawraca ci głowę głupstwami — mówiła z przekąsem.

— Ani jednego, ani drugiego — zawołała zarumieniona — sama pracuję i to mi wystarcza.

— Wystarcza!? — i tłusta jej twarz wyrażała żal i pretensyę — przecież widzisz jak pracuję, zamęczam się, tchu mi nie staje, a ty myślisz tylko o sobie... Któż cię wychował, uczył, dał edukacyę? Kto postarał się o twoją posadę? I teraz słyszę wymówki, że pomagasz biednej matce... — i rozżalona zaczęła płakać.

W umyśle matki odtworzyły się wspomnienia i obrazy maleńkiej, nieporadnej Janinki, trudy i kłopoty z jej odchowaniem i ogarnął ją bezwiedny żal matki żyjącej z pracy dziecka. Zdawało się jej, że każda wzmianka o pieniądzach, o udzielanej pomocy jest zarazem wymówką. I stąd jej rozdrażnienie, nieuzasadnione żale i pretensye, uważała bowiem Janinę zawsze jako nieletnie, nieporadne dziecko, które we wszystkiem powinno iść za jej radą i wskazówkami. Córka rozgoryczona tonem matki, patrzała chmurna na płaczącą i nie umiała znaleść słów kojących.



— Eh, ciężki to kawałek chleba, bazgrać i słuchać byle kogo!....

W tem zapukano ostro do drzwi kuchennych i nie czekając odpowiedzi, wszedł sapiąc głośno, niski, dość otyły mężczyzna i zdejmując zrudziały kapelusz zawołał:

— Moje uszanowanie pani Karolowej—wszedłszy do pokoju — a i panna Janina przy pracy, jak Bóg przykazał... zawsze śliczności, jak kwiatek — oddychał głęboko oglądając się za krzesłem.

Matka szybko otarła łzy, mimo swej tuszy zerwała się z krzesła i rozjaśniając twarz miłym uśmiechem, witała przybyłego serdecznie:

— A pan Łuka! Jakże nam przyjemnie... proszę, siadaj pan — przysunęła mu krzesło.

— Dziękuję... dziękuję — sadowił się na krześle i wyjmując wielką, kraciastą chustkę, ocierał spoconą, łysawą głowę. Gorąco dzisiaj, no i drapałem się na trzecie piętro.

— Zawsze to pieknie ze strony pana Łuki, że nie zapomina o nas — mówiła ze słodkim uśmiechem — jakże zdrowie?

— Dziękuję, trzyma się człowiek... Przechodząc, zaszedłem do was na chwilę — spojrzał na Janinę małemi, sprytnemi oczyma.

— To zaszczyt dla nas — pochyliła głowę matka — przy tylu interesach, sprawach...

— Ano, w sklepie zostawiłem Rózię, a sam wracam od rejenta — mówił z odcieniem dumy.

— Od rejenta?! — udała zdziwienie — a cóż pan Łuka tam robił?

— Kupiłem chałupę na Mylnej... — rzekł czekając wrażenia.

— Chałupę? — zaśmiała się — pewno kamienicę.

— No tak... sześć okien frontowych... dziesięciu lokatorów... i wozownię i ogród.

— To i chwała Bogu — cieszyła się ze źle ukrywaną zazdrością.

— A cóż panna Janina na to? — zwrócił się do dziewczyny milczącej, zajętej szyciem.

— Tem lepiej dla pana i dzieci — odpowiedziała nie podnosząc oczu.

— Pewno pan się tam przeniesie, bo co własne, to własne — dodała matka.

Odetchnął głęboko, zapalił cygaro, rozsiadł się lepiej i mówił:

— Ja kupiec i porządek u mnie to grunt, otóż kamienicę kupiłem dla siebie nie dla dzieci, one dostaną sklep. Rózia idzie zamąż, to się ona nie liczy — znów umilkł i czekał.

— Rózia! — zawołała Karolowa — kiedy? za kogo?

— Trafił się jej kupiec z Ropczyc, dawny mój uczeń, wdowiec z dwojgiem dzieci, ale porządny człowiek... i w czerwcu ślub.

— Jakiż pan szczęśliwy, żeś zabezpieczył los córki — westchnęła rzuciwszy okiem na Janinę.

— Ee, niema pani czego się martwić — uśmiechnął się i grubą, spracowaną ręką otarł zaślinione od cygara usta i krótko przycięte wąsy — byle panna Janina zechciała a mąż się znajdzie.

W tonie czuć było pewność siebie, bo gdy przez znajomą badał Traweckich, odpowiedziała mu matka w imieniu Janiny, że trudno wydać córkę za człowieka posiadającego w domu starszą dziewczynę od przyszłej żony.

— Ja się też nie martwię — rzekła pospiesznie — ma chleb w ręku, pozycyę... i będzie co Bóg da.

— Eh, ciężki to kawałek chleba, bazgrać i słuchać byle kogo... ot, być panią, gospodynią, mieć własną kamienicę, to rozumiem. Czy nie tak panno Janino?

— Jak dla kogo... mnie wystarcza moja pensya.

— Hm... dziś jest, a jutro niema... a co pewne, umocowane, to znów co innego.

— Święta prawda — wmięszała się matka — ale i Janinka, jeśli Bóg pozwoli jej doczekać, będzie miała dom i gospodarstwo.

— Na razie zrozumiał, że znalazł się bogaty konkurent, nachmurzony więc starał się wybadać:

— Jakimże sposobem? — spytał.

— Brat mego nieboszczyka, a rodzony stryj i opiekun Janinki, to bogacz — odpowiedziała zadowolona.

— Coś słyszałem... to ten pod Bochnią?... Żonaty?... Kawaler?...

— Wdowiec.

— Ee, to się jeszcze ożeni — uśmiechnął się.

— Kiedy bo nie, przysiągł nieboszczce i piąty rok jest we wdowieństwie.

— Ano... tem lepiej. Otóż wracając do interesu, mój sklep dla dzieci, tak im się należy, bo wspólnie z nieboszczką dorobiliśmy się, a kamienica dla mnie i mojej żony, skoro znajdę po swej myśli — a mówiąc to, spojrzał wymownie na Janinę.

— Co słusznie, to słusznie — skinęła głową— napracował się pan, czas odpocząć.

— Ho, ho, jeszcze czas na odpoczynek — zaśmiał się głośno — siłę mam — podniósł w górę wielką rękę. Sklep będę sam prowadził, a kamienica na stare lata... Cóż u pani słychać?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Znikający środek komunikacyjny.

Moda, ta wszechwładna na wszystkich polach pani, spowodowała upadek i zagładę omnibusów w Wiedniu, jednego z bardzo w swoim czasie popularnych środków komunikacyjnych tamtejszych. Wprowadzone tam przed 26 laty w powszechny użytek przez „Vienna General Omnibus Comp. Ltd.“, zdobyły sobie ogromną wziętość, ze względu na niskie ceny biletów jazdy; nie była to jazda — co prawda — ani zbyt wygodna, ani szybka, ani z komfortem urządzona, ale skromnym potrzebom i wymogom średniej klasy wiedeńczyków prawie w zupełności odpowiadała, przynajmniej do tego czasu, kiedy na ulicach stolicy naddunajskiej pojawiły się tramwaje elektryczne. Urządzenia tych ostatnich stały się konkurencyą tego rodzaju, iż poczciwe omnibusy musiały uznać swą niższość, a w następstwie tego wycofać się z ulic Wiednia. Dawniej przepełnione podróżnymi toczyły się z hukiem po ulicach stolicy, w ostatnich czasach stały puste na placach, czekając daremnie na żądnych nietyle miłej, ile trzęsącej jazdy. Smutno było omnibusom, smutno i koniom, zaprzężonym do wielkich pudeł, to też wychudły i spuściwszy poważnie łby, dumały o dawnych, dobrych czasach.

Zdjęcie fotograficzne jednego z ostatnich omnibusów wiedeńskich, zamieszczamy w ostatnim numerze.

Książęcy ślub.

W zeszłym tygodniu w Worcestershire w Anglii, na zamku Wood Norton, stałej siedzibie księcia orleańskiego, odbyły się zaślubiny księcia Karola Burbońskiego, infanta hiszpańskiego, z Ludwiką, księżniczką Francyi, najmłodszą córką zmarłego hrabiego Paryża. Pan młody wstąpił w związek małżeński po raz drugi, pierwsza bowiem jego małżonka, infantka Marya de las Mercedes, najstarsza siostra króla Alfonsa XIII, zmarła przed kilku laty po urodzeniu trzeciego dziecka. Przed swemi pierwszemi zaślubinami książe Karol, który urodził się 1870 r. w Gries koło Bozen, przyjął obywatelstwo hiszpańskie i został mianowany infantem hiszpańskim; obecnie pełni on obowiązki jenerała armii hiszpańskiej.

Kościelny obrzęd zaślubin odprawiono z niezwykłą pompą — w umyślnie zbudowanej na ten cel kaplicy zamkowej, poprzednia bowiem nie mogłaby pomieścić wszystkich zaproszonych gości. Biskup Birminghamu po odczytaniu błogosławieństwa papieskiego połączył węzłem dozgonnym młodą parę. W obrzędzie tym brało udział kilku panujących, między innymi i szwagier ks. Karola, król hiszpański wraz z żoną.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

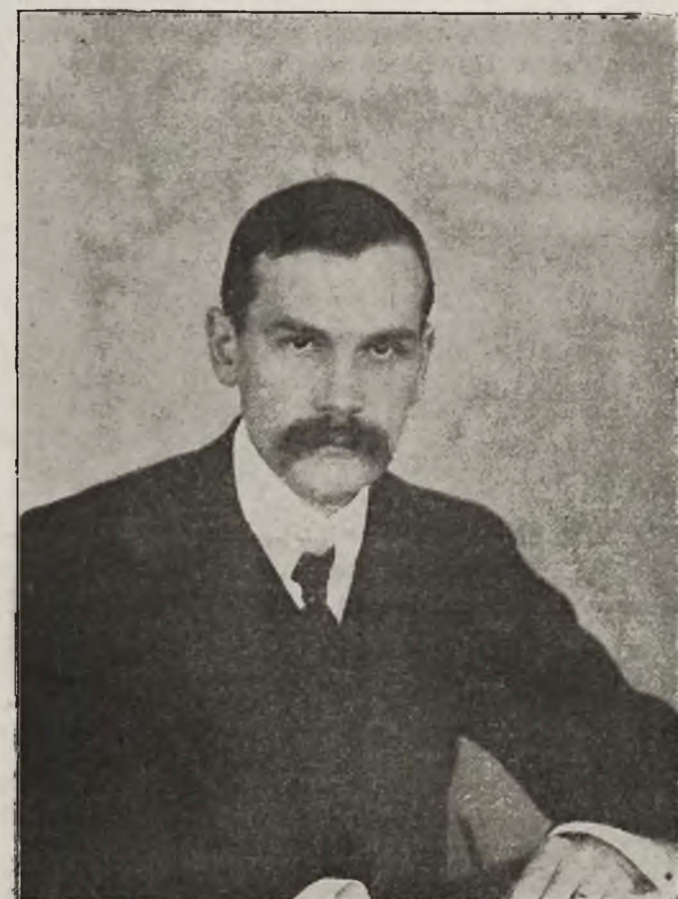
Znikający środek komunikacyjny: Omnibus wiedeński, który w najbliższych dniach zniknie z ulic Wiednia.

Obrady Dumy.

Trzecia Duma w Petersburgu rozpoczęła czyn-



Książęcy ślub: Obrzęd zaślubin ks. Karola Burbońskiego z ks. Ludwiką w zamkowej kaplicy w Wood Norton.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Obrady Dumy: I. Wiceprezydent baron Aleksander Meyendorff.

ności parlamentarne debatą nad adresem do tronu, który ma być odpowiedzią i podziękowaniem zarazem za słowa powitania, jakie w imieniu cesarza Mikołaja wygłosił w dzień otwarcia obrad senator Gołubiew. Redakcya adresu tego jest znamiennym dokumentem dla charakterystyki obecnego składu Dumy, bo w tej redakcyi uwidacznia się najdobitniej ustosunkowanie wzajemne różnych partyj politycznych, które mają w parlamencie rosyjskim swych przedstawicieli, a także i kierunek, w jakim Duma ta pójdzie. Z dotychczasowego przebiegu obrad można już wnosić prawie napewne, iż cały ciężar Dumy przechyli się bardzo na prawą stronę, i ona też nada obecnie ton w pałacu Taurydzkim. Opozycya i umiarkowani zbyt nielicznie przedstawiają się w stosunku do prawicy, by mogli skutecznie wpływać na tok obrad.

Potwierdzają to najlepiej dane statystyczne, z których wynika, że w dzisiejszej Dumie opozycya składa się zaledwie z 135 posłów, gdy prawica liczy ich 279. Natomiast w drugiej Dumie prawica liczyła zaledwie 54 członków, opozycya zaś 391. W tym samym stosunku, w jakim wzrosła ilość posłów z prawicy, zmalała równocześnie opozycya. Szczególniej ucierpieli na tem Polacy, Koło polskie w Petersburgu bowiem, które w drugiej Dumie miało 46 przedstawicieli, dziś ma ich ogółem 16.

W następstwie tego ustosunkowania stronnictw i partyj trzeciej Dumy, prezydyum jej zostało wybrane prawie w całości z grona posłów prawicy. Jak już donosiliśmy, prezydentem został poseł Chomiakow, jego zastępcami zaś książe Włodzimierz Wołkoński, jeden z najbardziej reakcyjnych członków „Związku prawdziwych Rosyan“ i baron Aleksander Meyendorff. Sekretarzem izby wybrany został p. Sasonowicz, znany profesor uniwersytetu w Warszawie, gdzie zajmował się mniej wykładami a więcej sprawami politycznemi, w szczególności organizowaniem „Związku prawdziwych Rosyan“.

Z klubów politycznych najliczniej reprezentowani są w trzeciej Dumie „październikowcy“, których weszło 96. Zajęcie ich zebrania w jednej z sal pałacu Taurydzkiego, pod przewodnictwem prezesa Guczkowa, zamieszczamy w dzisiejszym numerze, obok portretów wiceprezydentów i sekretarza Izby.



Fot. A. Drankow Petersburg.
Obrady Dumy: II. Wiceprezydent ks. Włodzimierz Wołkoński.

Imponująca manifestacya.

Niesłychany gwałt, jakiego rząd pruski chce się dopuścić na narodzie polskim przez wprowadzenie w ży



Obrady Dumy: Sekretarz I. P. Iasonowicz.



Obrady Dumy: Grupa posłów ze związku »październikowc

cie ustawy o wywłaszczeniu „ustawy najwstrętniejszej", jaką sobie wyobrazić można a podyktowanej nie względami na dobro kultury niemieckiej, a jedynie szałem nienawiści przeciw naszemu narodowi, wywołał oburzenie w całym świecie cywilizowanym.

Wyraz temu oburzeniu dały w dniu, w którym rząd pruski projekt ustawy przedłożył sejmowi swemu, przedstawiciele wszystkich nieniemieckich narodowości, reprezentowanych w wiedeńskiej radzie państwa. Manifestacyę rozpoczął prezes Koła polskiego dr. Głąbiński ostrem przemówieniem w formie zapytania do prezydenta Izby, po nim zaś zabierali kolejno głos mowcy rozmaitych narodowości, solidaryzując się z treścią tej mowy i potępiając bezecną politykę antypolską rządu pruskiego.

Jedynie część niemieckich posłów próbowała przeszkodzić tej wspaniałej, imponującej manifestacyi, a Rusini-Ukraińcy, chcąc zadokumentować swą nienawiść do polskości, opuścili podówczas salę obrad. Ani jedno ani drugie jednak wrażenia ogólnego nie zmieniło.



Fot. A. Croce, Medjolan.

Najszybszy statek wodny: Próby hydroplanu Forlaniniego na Lago Maggiore.

Pierwsza burza w Dumie.

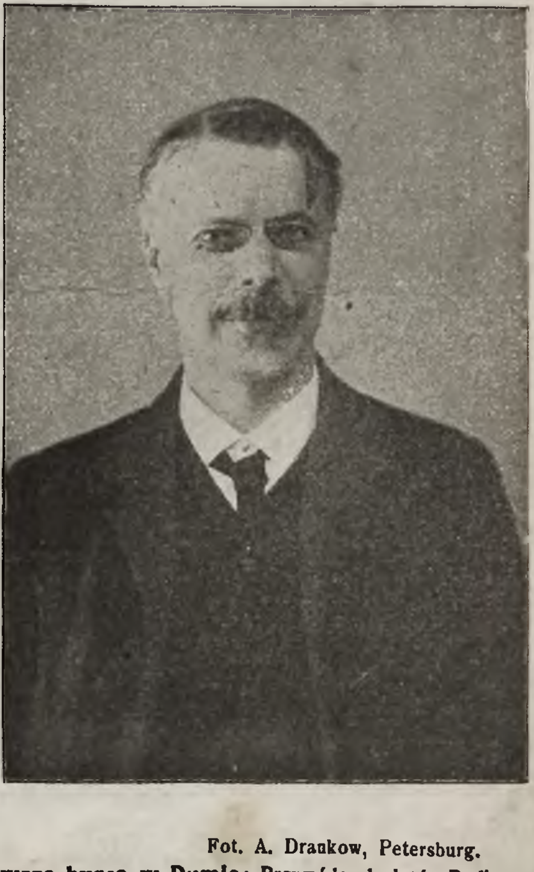
Sceny, żywo przypominające burzliwe posiedzenia izby posłów w Wiedniu, rozegrały się na jednem z ostatnich posiedzeń Dumy rosyjskiej. Po złożeniu deklaracyi rządu przez prezesa ministrów Stołypina, którą prawica i centrum przyjęli hucznymi oklaskami, zabrali głos posłowie z lewicy, gdzie zasiadają obecnie między innymi i kadeci. Po mowie posła Milukowa zabrał głos Rodiczew, jeden z przywódcow kadetów, pamiętny z tego, iż w poprzednich Dumach domagał się zupełnej amnestyi dla przestępców politycznych. Od pierwszych jego słów zerwała się w sali obrad burza oklasków na lewicy przygłuszana okrzykami „precz" z prawicy. Gdy Rodiczew, nie zważając na hałas i wrzaski, kontynuował swą mowę i wyraził się, że rząd do walki z objawami rewolucyi używa tylko jednego środka, którzy potomni nazwą „krawatem Stołypina", posłowie z prawicy podbiegli z swych miejsc do trybuny mówcy i z wyciągniętemi pięściami poczęli wołać „precz, precz". Posłowie lewicy pospieszyli na pomoc swemu towarzyszowi, wszczęło się ogólne zamieszanie, którego zakończenie mogłoby być nadzwyczaj smutnem; Rodiczew jednak sam ustąpił z trybuny, a równocześnie i ministrowie opuścili salę posiedzeń, wówczas też prezes Dumy zarządził przerwę. Po wznowieniu posiedzenia prezydent Chomiaków poddał pod głosowanie wniosek prawicy, domagający się wyklnczenia p. Rodiczewa z 15 posiedzeń. Duma znaczną większością wniosek ten uchwaliła, poczem p. Rodiczew salę obrad opuścił, a nadto osobiście przeprosił obrażonego prezydenta ministrów Stołypina.

Tak zakończyła się pierwsza burza w trzeciej Dumie.



ców z przywódcą Guczkowem (X)

Fot. A. Drankow, Petersburg.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Pierwsza bursa w Dumie: Przywódca kadetów Rodiczew.

W przededniu rewolucyi w Portugalii.

W ostatnich czasach ponowiły się groźne wieści o wrzeniu rewolucujnem w Portugalii. Wrzenie to przenika obecnie wszystkie sfery ludności.



W przededniu rewolucyi Portugalii: Dyktator Portugalii Joas Franco.

Rozpoczęło się ono już przed kilku miesiącami, wskutek czego król portugalski Karol zaprowadził dyktaturę i złożył ją w ręce znienawidzonego powszechnie zaufańca swego, nazwiskiem Franco. Zaprowadzenie dyktatury nietylko nie wpłynęło uspokajająco na wzburzone umysły, lecz jeszcze bardziej rozgoryczyło ludność. I wówczas kraj cały zjednoczył się w opozycyi przeciw swemu monarsze.

Dolaniem oliwy do oguia był fakt, iż król Karol polecił mianowanemu przez się dyktatorowi, by podwyższył jego listę cywilną, i tak już wobec smutnego stanu finansów Portugalii, bardzo wysoką. Ludność tego państwa od dawna narzekała na rozrzutność swego władcy, który nie wahał się niejednokrotnie naruszać nawet skarbca dawnej królewskiej rodziny Braganzów.

Niezmiernie charakterystycznem jest, że przeciw królowi Karolowi wystąpił wraz z całym narodem następca tronu. Młody ten, bo zaledwie dwudziestoletni książę, wrócił niedawno z podróży po koloniach portugalskich, którą odbył z rozkazu króla. Po powrocie do kraju i po rozejrzeniu się w stosunkach, jakie zapanowały w ojczyźnie, następca tronu nawiązał stosunki z przywódzcą opozycyi, senatorem Vilherdem i zwrócił się do króla z przedstawieniem, iż kraj popycha wprost do zguby; — żądał też młody książe zniesienia dyktatury i przywrócenia rządów konstytucyjnych. W odpowiedzi na to król kazał aresztować następcę tronu i wywieść go do małego miasteczka Villa Vicosa o 150 klm. od Lizbony, gdzie książe trzymany jest jako więzień polityczny. Wieść o tym fakcie jeszcze bardziej wzburzyła umysły opozycyi, tak iż spodziewać się tam można rychłego rozlewu krwi.



W przededniu rewolucyi w Portugalii: Królowa Portugalii Amelia, król Karol i następca tronu Ludwik Filip.



»Ich czworo« Zapolskiej: Scena z I aktu podczas wieczerzy wigilijnej. Aparatem redakc. W. Lis.

„Ich czworo“ Zapolskiej.

Najnowszy utwór dramatyczny p. Gabryeli Zapolskiej pt. „Ich czworo“, tragedya ludzi głupich, wystawił w ubiegłą sobotę po raz pierwszy teatr krakowski. Powodzenie, jakie sztuka ta zdobyła wśród publiczności krakowskiej, było nie mniejsze niż we Lwowie.

„Ich czworo“ — to jedna z najświetniejszych odmian francuskiego „trójkąta małżeńskiego“, pogłębiona znakomicie przez naszą autorkę satyrycznymi rzutami, a oprawiona w ramy może bardzo jaskrawe, nie mniej jednak wspaniałe, w czem znać mistrzowską rękę p. Zapolskiej.

Jądrem „tragedyi ludzi głupich“ jest konflikt moralny, stworzony przez kochanka i żonę, krzywdzących uczciwego i rozumnego męża. A że ludzie, występujący w tej sztuce, zaobserwowani są znakomicie, że charaktery ich przedstawione nad wyraz plastycznie, więc też rzecz cała wywiera wielkie, głębokie wrażenie. Znakomita choć prosta budowa sztuki, świetne zastosowanie tajników techniki scenicznej, której wszechwładną panią jest autorka, temperament wreszcie niezwykły, potęgują to wrażenie i zapewniają utworowi p. Zapolskiej powodzenie na scenach polskich.

Wykonanie sztuki „Ich czworo“ na scenie teatru krakowskiego było bez zarzutu. Bohaterką wieczoru była p. Ordon-Sosnowska, która rolę głupiej żony, zdradzającej z głupim kochankiem mądrego męża, pojęła doskonale i doskonale odegrała, utrafiwszy w odpowiedni ton i wyzyskując świetnie charakterystyczne rysy tej bezmyślnej lalki. Partnerami jej bardzo dobrymi byli pp. Kosiński w roli męża zdradzonego i Stanisławski w roli kochanka-szantażysty.

L. de Laëre.

Tajemnica „Czerwonego Stawu“.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

12 (Dokończenie).

— Ciągle jeszcze jest słaba, jednakże lekarz, który ją codziennie odwiedza, ma nadzieję, że wkrótce powróci zupełnie do zdrowia.

— A Piotr?

— Piotr jest zdrowy, ma dzisiaj przepędzić z nami ten dzień. Zacna pani Verdier, chcąc mi zrobić przyjemność, zaprosiła go do siebie. Ma przybyć pociągiem o wpół do dwunastej. Jakąż radość sprawi mu twój widok, ojcze.

Henryeta nagle umilkła. Teraz dopiero spostrzegła głęboką zmianę w twarzy starca. Po twarzy jej przebiegł cień smutku.

— Biedny ojcze, ile ty wycierpieć musiałeś?— szepnęła.

— Zestarzałem się, nieprawdaż, moje biedne dziecko?

Dwie duże łzy potoczyły się po twarzy młodej dziewczyny. W tej samej chwili kobieta w podeszłych już latach, lecz jeszcze bardzo piękna, wyszła z domu. Dostrzegła rozmawiających i przyjazny uśmiech zajaśniał na jej twarzy. Chciała się oddalić niepostrzeżenie, lecz szelest jej kroków zwrócił uwagę starego ogrodnika.

— Henryetto, zdaje mi się, że to twoja pani idzie — rzekł powstając i kłaniając się z uszanowaniem nowoprzybyłej.

— Witam pana, panie Gibier — rzekła pani Verdier, podając życzliwie rękę starcowi. Wiem od Henryetty o ciężkich przejściach, jakie pana dotknęły w tym czasie. Niech się pan uważa u mnie za domownika i wierzy, że wszyscy starać się będziemy, abyś pan zapomniał prędko o tych smutnych dniach, przeżytych zdala od swojej córki. Jest zaledwie ósma godzina i zapewne nie jadłeś pan jeszcze śniadania — ciągnęła dalej gospodyni domu. Henryetto, zaprowadź ojca do jadalnego pokoju, ja tam przybędę za chwilę.

Mówiąc to pani Verdier oddaliła się, posyłając swojemu nowemu gościowi życzliwe spojrzenie.

Około dwunastej przybył Piotr Ducret. Został on wcześniej już uwiadomiony przez swojego przyjaciela Rajmunda Valet o uwolnieniu starego Klemensa. Przywitanie starca z młodym mechanikiem było bardzo serdeczne. Narzeczony Henryetty żywił dla starego Klemensa Gibier prawdziwe synowskie przywiązanie i od dnia jego nieszczęśliwego aresztowania, wierzył gorąco w jego niewinność.

— Jakże się ma moja matka?—zapytał Piotr Ducret po pierwszych wynurzeniach!

— Lepiej — odpowiedziała pani Verdier — lecz lekarz obawia się dla niej wrażenia, jakie na niej może wywołać widok ojca Henryetty. W obecnym stanie jej zdrowia, każde wzruszenie jest dla niej szkodliwe. Trzeba zaczekać na polepszenie.

— Ale ja mogę ją iść uściskać? — spytał Piotr.

— Zaczekaj trochę moje dziecko, matka twoja przed chwilą zasnęła.

— Pani coś ukrywa przedemną — zawołał młody człowiek, przejęty nagłym lękiem.

— Co znowu Piotrze — odpowiedziała pani Verdier. Skądże znowu te smutne przypuszczenia? Chcę, aby dziś w moim domu każdy czuł się szczęśliwym i wesołym. No, dalej do stołu, musimy uczcić powrót naszego starego przyjaciela.

Dzień cały przeszedł na poufnej, serdecznej rozmowie.

— Mamy zamiar z Henryettą udać się na pasterkę — rzekła pani Verdier, gdy po obiedzie wstano od stołu. Panowie pewnie zechcecie skorzystać z wolności. Idźcie więc, gdzie wam się podoba, lecz przyjdźcie, aby odprowadzić nas z kościoła.

— Proszę liczyć na nas — odrzekł Piotr, żegnając się z paniami.

Około godziny dziewiątej młody mechanik wyszedł w towarzystwie starego Klemensa. Starzec czuł silne pragnienie użycia ruchu i świeżego powietrza.

— W którą stronę udamy się? — spytał Piotr.

— W którą zechcesz. A jeżeli nie masz nic przeciwko temu, możemy dojść aż do Robinson.

Młody człowiek spojrzał bystro na mówiącego.

— Czy w celu spotkania się ze starym Ulmanem chcesz tam iść ojcze? — zapytał. Rachunki z nim nie załatwione jeszcze, lecz pozostaw to już mnie.

— Daj spokój mój synu. Nie kalaj rąk dotknięciem tego nędznika. Przekonasz się, że w krótkim czasie będzie on odpowiadał przed sądem za fałszywe zeznania, które poczynił w celu potępienia mnie.

Ruszyli w drogę. Idąc przez Sceux, wstąpili do kawiarni znajdującej się niedaleko dworca kolejowego, gdzie spotkali się ze znajomymi. Jedenasta godzina biła, gdy przechodzili koło Białego domku. Stary ogrodnik zadrżał, przechodząc koło tego fatalnego miejsca, gdzie się rozegrał wstrząsający dramat, którego i on niewinnie padł ofiarą. Noc była ciemna, niebo całe zasnute ciężkiemi, śnieżnemi chmurami, wlokącemi się nisko nad ziemią. W powietrzu rozbrzmiewał dźwięk dzwonów zwiastujących Narodzenie Boga, a dźwięk ten tysiącznem echem rozchodził się wokoło. Przechodząc koło oberży starego Ulmana, Piotr Ducret spostrzegł światełko błyszczące w jednym rogu ogrodu niedaleko drogi. W tej samej chwili światełko zgasło. Na tle śniegu odbijała się ciemną plamą chuda, wysoka postać starego Ulmana. Nagle dreszcz wstrząsnął ciałem starego ogrodnika.

— Czy widzisz Piotrze? — zapytał, chwytając towarzysza za rękę.

Przysunęli się jeszcze bliżej do płotu i patrzyli uważnie. Stary oberżysta zajęty był jakąś dziwną i tajemniczą robotą. Z dołu, wykopanego u podnóża wielkiego dębu, wyciągnął spiesznie jakieś przedmioty, których jednak patrzący, z powodu odległości rozpoznać nie mogli. Nagle podejrzenie przeszyło myśl starego ogrodnika.

Chodź — rzekł stanowczym głosem, pociągając młodego człowieka do ogrodu.

Puszysty dywan śniegu tłumił odgłos kroków; mogli więc niepostrzeżenie podejść do starego oberżysty. Lecz w tejże samej chwili rozległ się głośny śpiew na ulicy; Ulman odwrócił się a oczy jego przyzwyczajone do ciemności, z łatwością dostrzegły cienie, dwóch śledzących go ludzi. Wyprostował się szybko i równocześnie dwa strzały rozdarły powietrze. Śpiew na drodze ucichł natychmiast, lecz w tej samej chwili rozległ się przeraźliwy okrzyk bólu i rozpaczliwe wołanie:

— Ratunku! ratunku! mordują!

Rozległy się nawoływania, odgłos biegnących ludzi i gromada wieśniaków, która podążała do kościoła, wtargnęła z okrzykami i przekleństwem do ogródka. Przy świetle latarki, którą niósł jeden z wieśniaków, dostrzeżono dwóch ludzi, walczących wściekle ze sobą, podczas gdy trzeci leżał bezwładnie u ich nóg. Wieśniacy sądzili, że stary Ulman został napadnięty przez jakichś włóczęgów i biegli mu z pomocą, gdy nagle rozległ się donośny głos starego Klemensa Gibier:

— Do mnie! do mnie! na pomoc! to szpieg pruski!...

. . . .

Po chwili szpiega uwiązano u drzewa i czekano na przybycie żandarmów, po których pobiegł mały Loriot. W oberży na ławie leżał Piotr Ducret raniony jednym strzałem. Obok zaś niego położono trupa wieśniaka, zabitego kulą starego Ulmana.

Wieśniacy w ogrodzie przeszukiwali dół wykopany przez oberżystę. Z pod stosu nagromadzonych książek i zeszytów zapisanych drobnem, niemieckiem pismem i fotograficznych zdjęć z okolicy, jeden z wieśniaków wyciągnął długi, zwinięty rulon papieru.

— Plan, plan fortu! — rozległ się groźny okrzyk wokoło.

W rzeczywistości był to plan nowego fortu w Châtillon.

— Na śmierć prusaka! na śmierć zdrajcę! — ryczał rozwścieklony tłum.

Jeden z wieśniaków podszedł do Ulmana, plunął mu w twarz i przeciął nożem sznury krępujące mu ręce.

— Broń się nędzniku, bo cię zabiję!...

Lecz oberżysta nie poruszył się. Pięść wieśniaka, ciężka jak uderzenie maczugi, zwaliła się z głuchym łoskotem na jego głowę. Nędznik zalany krwią zachwiał się. Wtedy dwadzieścia ramion wyciągnęło się ku niemu, wydzierając go sobie i bijąc; strzępy z ubrania padały wokoło. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk, ze zbitej gromadki ludzi wyrwał się Ulman i wyjąc z bólu, skoczył naprzód. Lecz siły go już opuszczały, zatoczył się kilkakrotnie i bijąc rozpaczliwie rękami powietrze, runął z jękiem na ziemię. W tej samej chwili Klemens Gibier wybiegł z oberży; oczom jego przedstawił się przeraźliwy widok. W śniegu na wpół nagi, leżał oberżysta; z okropnej rany w brzuchu buchała krew wielkiemi strugami. Nad konającym stał wysoki wieśniak z widłami w ręce i patrzył przerażonym wzrokiem na swą ofiarę.

ROZDZIAŁ XXIII.

Medalion.

Przed więzieniem Roquette liczny tłum, złożony z kobiet, mężczyzn i dzieci, otoczony kordonem żołnierzy i policyantów, oczekiwał niecierpliwie chwili stracenia fałszywego Valbreque, porucznika Stewarda, Pawła Ludwika, dezertera, mordercy pani de Trèves i jej służącej Żanetty. W tłumie panował ruch nie do opisania. Kobiety o wstrętnie wymalowanych oczach, w krzykliwych jedwabnych sukniach znajdowały się tutaj obok starannie zawoalowanych dam z wyższego świata, które przywiodła tu niezdrowa ciekawość i potrzeba sensacyjnych wrażeń. Od czasu do czasu ostry wybuch śmiechu przedarł się ponad tłum i długo drgał w powietrzu. Na tle ciemnej nocy olbrzymią czarną plamą rysowały się mury ponurego więzienia. Niedaleko od kordonu żołnierzy stało dwóch młodych ludzi, był to Gaston Dubler i przyjaciel jego Jerzy Heudes.

— Wierzaj mi, mój przyjacielu — odezwał się Jerzy — ale nie mogę dłużej tu pozostać — widok ten działa na mnie przygnębiająco.

— Ależ nie odchodźże mój drogi, nie wiedziałem, że jesteś tak wrażliwy. No mój drogi, trochę cierpliwości i odwagi, przecież nie zechcesz mnie tu samego zostawić.

— Nie chciałbym ci zrobić przykrości, ale sam przyznaj, że spokojnie patrzeć nie można na te wstrętne kobiety, oczekujące z gorączkowem zniecierpliwieniem, jak za chwilę tracić tu będą człowieka.

— A czy myślisz, że mnie ten widok także nie porusza? Ale trudno, jestem dziennikarzem, muszę jutro podać sprawozdanie z tego okropnego widowiska. A wiesz Jerzy, ten, którego tu mają tracić, nie jest zwyczajnym nędznikiem, zamordował z miłości.

— Tak jak ten sławny Antony?

— Tak jest, tak jak Antony; opierała się mu, a on tego znieść nie był w stanie. Doprawdy, człowiek jest dziwnie skomplikowanem stworzeniem. Najuczciwszy z nas nie może twierdzić, czy jutro nie będzie zbrodniarzem.

Młodzi ludzie umilkli nagle, bo właśnie głuchy hałas i pomruk rozległ się od strony więzienia; przy szarem świetle wschodzącego słońca dostrzeżono, jak ciężkie drzwi więzienia otworzyły się wolno i na dziedzińcu ukazał się skazaniec. Głośny okrzyk wybiegł z tłumu, poczem nastąpiło długie przygnębiające milczenie. Steward szedł równym, miarowym krokiem, ręce miał silnie przywiązane do ciała, nogi zaś skute kajdanami; obok niego szedł Jaime, kilku ajentów i stary więzienny kapelan. Od czasu do czasu ksiądz, poprzedzający ten ponury orszak, odwracał się, szepcąc skazanemu kilka słów odwagi i pociechy. Siódma godzina właśnie wybiła na zegarze. Pierwszy promień wschodzącego słońca wybiegł z za muru więziennego i oświetlił smutną tę scenę. Tłum poruszając się żywo i wykrzykując, cisnął się do stóp szafotu. Na twarzach wszystkich obecnych widniała podniecona ciekawość, a w błyszczących okrutnem zadowoleniem oczach trudno było odnaleść ślad wzruszenia, lub litości nad nieszczęśliwym, który za chwilę stać się miał ofiarą sprawiedliwości ludzkiej. Skazaniec, który na razie wydawał się odważnym i zrezygnowanym, na widok wznoszącej się wstrętnej maszyny, zadrżał silnie i cofnął się w tył; twarz jego pokryła się trupią bladością. Gniewny pomruk rozczarowania przebiegł przez tłum. Pomocnicy kata podbiegli do słaniającego się więźnia i brutalnym ruchem pociągnęli go pod słup. Wywiązała się krótka, zacięta walka, ale prawie równocześnie rozległ się przytłumiony okrzyk i silny głuchy łoskot spadającego noża.

Sprawiedliwości ludzkiej stało się zadość.

— — — — — — — — — — — — —

Tego samego dnia jeszcze detektyw Jaime zjawił się w mieszkaniu sędziego Davricourt. Służący wprowadził go do sypialni. Na kanapie przed płonącym ogniem na kominku leżał owinięty w szalu sędzia. Cerę miał żółtą, a oczy jego podkrążone były siną obwódką.

— Czy pan nie chory panie sędzio? — zapytał zaniepokojony detektyw.

— Od tygodnia już czuję się nie zdrów mój przyjacielu — odpowiedział zapytany słabym głosem. Serce nie daje mi spokoju. Dziś całą noc nie spałem, a nad ranem gdy się zdrzemnąłem na chwilę, miałem sen straszny.

— Pan sędzia przejęty jest jeszcze widocznie tą nieszczęśliwą sprawą. No, ale więcej już o niej na szczęście nie usłyszymy. Zbrodniarz odpokutował za swoje winy. Wracam właśnie z placu stracenia.

— I jakże się to odbyło? — zapytał sędzia.

— Dość spokojnie. Więzień zdawał się być spokojnym i pełnym odwagi — odparł detektyw, który nie chciał smutnym opisem wstrząsającej sceny, jakiej był świadkiem, wzruszyć chorego.

— Czy nie uczynił żadnych zeznań?

— Żadnych. Dotąd nie wiemy nic o jego prawdziwem pochodzeniu. Zdaje się, że nad urodzeniem tego człowieka ciążyła jakaś tajemnica.

— Więc wszystko odbyło się bez żadnego wypadku? To dobrze. Jakąż straszną rzeczą dla przeciętnie wrażliwego człowieka są te egzekucye, których jednak znieść nie można. Gdzie wina tam i kara być musi. Ale pan panie Jaime, skorzystałeś na tej smutnej sprawie. Otrzymałeś awans służbowy, do którego tak gorąco wzdychałeś.

— Panu sędziemu jedynie to zawdzięczam — rzekł Jaime obejmując wdzięcznem spojrzeniem twarz swojego przełożonego.

— Jaime, mój przyjacielu. Jesteś skromnym, a przecież bardzo zdolnym człowiekiem — zauważył sędzia z uśmiechem. Dwie pożądane cnoty dla człowieka, oddanego na usługi policyi. Zadanie nasze jest często bardzo ciężkie i niewdzięczne, a przytem niestety nie posiadamy uznania i poparcia u publiczności, dla której przecież marnujemy swoje siły i zdrowie. Ale cóż to? odchodzisz już Jaime? — dodał sędzia widząc jak detektyw sięga po kapelusz.

— Muszę iść do biura, nie byłem tam dziś jeszcze.

— Poproszę więc pana o uczynienie mi przysługi. Zapewne wiesz już, że stary oberżysta Ulman został zamordowany przez rozwścieczonych chłopów. Uczyniono już dwa aresztowania. Chciałbym więc mieć dokładne szczegóły o tej sprawie. Czy znasz kogoś pewnego i zaufanego, któremuby można rzecz tę powierzyć?

— Ja sam się tem zajmę panie sędzio.

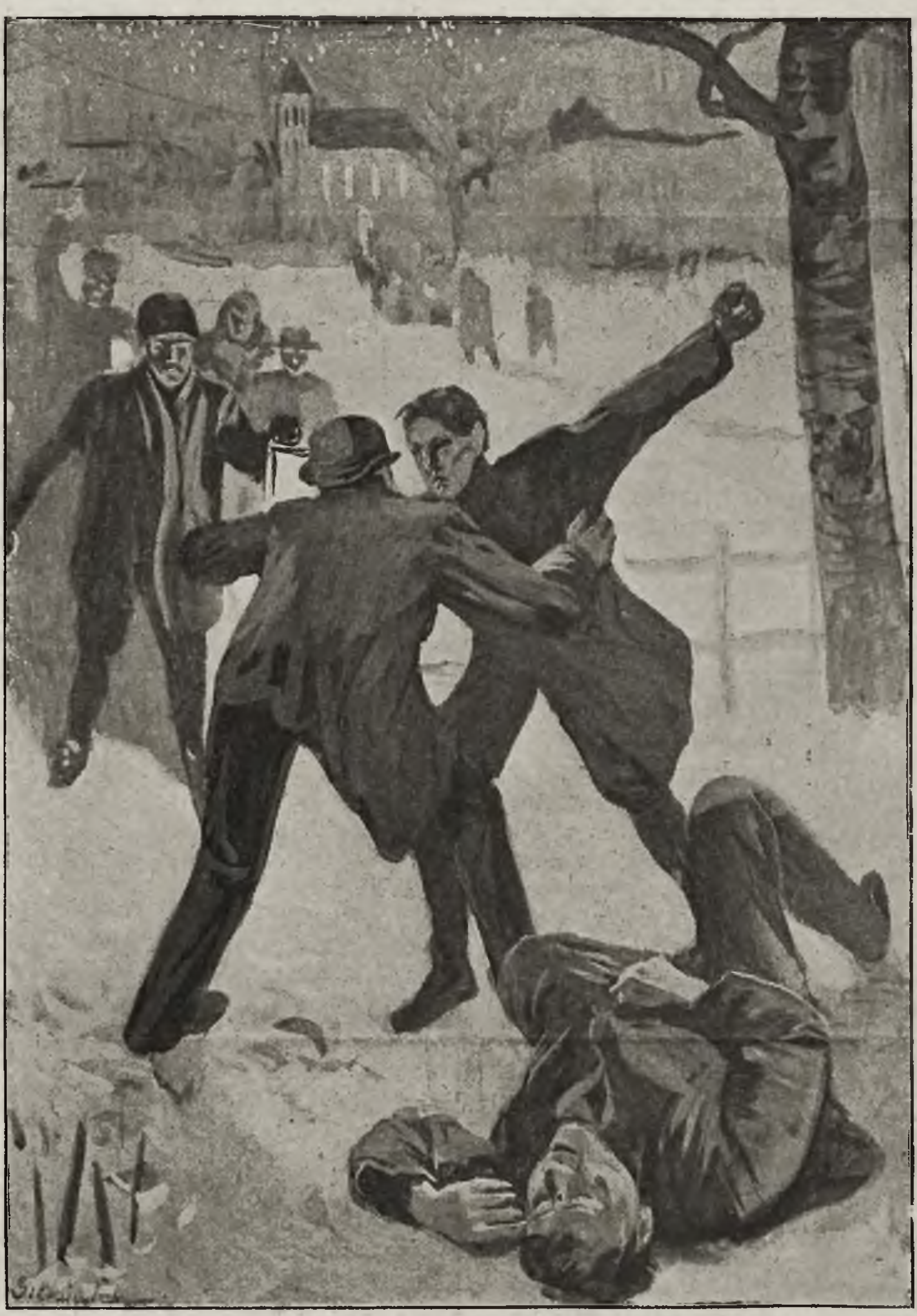
— Pan sam? A to dobrze się składa. Skoro już pan będzie znajdował się w tamtej okolicy, zechciej przejść do pani Verdier, u której przebywa obecnie córka Klemensa Gibier i dowiedz się pan o stanie zdrowia pani Ducret i jej syna Piotra. Podobno Piotr ma być dość silnie raniony przez starego Ulmana. Jestem niespokojny o niego.

— Czy to możliwe? Piotr Ducret raniony przez tego starego nędznika! Ależ ta piekielna sprawa chyba już nigdy końca mieć nie będzie — zawołał Jaime z oburzeniem.

— Rzeczywiście, na tych biednych ludzi spadają niezasłużenie wszystkie nieszczęścia. Piotr, jak orzekł przywołany lekarz, nie będzie zdolny do pracy przez jakie dwa miesiące.

— A to prawdziwa fatalność — mruknął Jaime.

Po chwilowej jeszcze rozmowie, detektyw pożegnał sędziego, lecz nagle zwrócił się od drzwi jakby tknięty jakąś myślą.



Przy świetle latarki, którą niósł jeden z wieśniaków, dostrzeżono dwóch ludzi walczących wściekle ze sobą..

— Czy pan sędzia wierzy w zabobony? — zapytał.

— W zabobony? Co znaczy to pytanie? — odrzekł zdziwiony sędzia Davricourt.

— Czy wierzy pan, że szczątki ubrania lub wogóle jakiś drobny przedmiot, pochodzący od osoby skazanej na śmierć przynieść może szczęście?

— Mój Jaime, bawisz się jak widzę w babskie plotki — odpowiedział śmiejąc się sędzia. Ale do czego zmierzasz mój przyjacielu. Czy masz podobny cenny talizman przy sobie?

— Tak jest. Dostałem pamiątkę po skazanym Stewarcie. W chwili, gdy zarzucano na niego śmiertelną koszulę, pomocnik kata znalazł ten oto medalionik, zawieszony u jego szyi. Steward przez wzgląd na naszą awanturniczą znajomość oddał mi to chętnie. Wspomniał przy tem, że się z tem przez całe życie nie rozłączał... Detektyw nie dokończył i nagle lekki okrzyk wydarł się z jego ust.

Sędzia Davricourt, trupio blady, z oczami rozszerzonemi okropnem przerażeniem, wpatrywał się uporczywie w przedmiot, podany mu przez Jaime. Po chwili uniósł rękę do gardła, otworzył kilkakrotnie usta, wdychając ciężko powietrze, próbował coś powiedzieć i bez jęku runął całym ciężarem na dywan.

Widok medalionu, przedstawiającego wizerunek Matki Boskiej, a który Steward przez dziwne jakieś zrządzenie losu zachował aż do ostatniej godziny swojego życia, rozświetlił w umyśle sędziego tajemnicę, ciążącą na urodzeniu byłego marynarza. Medalionik ten nieszczęśliwa jego kochanka Marya Ducret zawiesiła własnoręcznie na szyi ich syna — Pawła Ludwika. A więc Valbreque dezerter, Steward zbrodniarz był jego opuszczonym synem! Jego dzieckiem!

Odkrycie to było zabijające! Przywołany natychmiast przez Jaime'a lekarz, skonstatował śmierć wskutek gwałtownego anewryzmu serca, spowodowanego nadzwyczajnem moralnem wstrząśnieniem.

Epilog.

Dwa lata upłynęły od wyżej wymienionych wypadków. Mechanik Piotr Ducret ożenił się z Henryettą, córką starego Klemensa Gibier i zamieszkują razem w ładnym Białym domku, który młoda dziewczyna otrzymała jako podarunek ślubny od swojej chlebodawczyni pani Verdier. Pani Ducret na wieść o straceniu jej syna dostała pomieszania zmysłów i przebywa w domu dla umysłowo chorych. Przed oczami nieszczęśliwej kobiety występuje ciągle obraz nieszczęsnego skazańca, a wtedy rozdzierającymi krzykami przywołuje go do siebie.

Jaime, który jest częstym gościem w domu młodego małżeństwa, z niewymownym żalem i wyrzutem wspomina smutną rolę, którą nieświadomie odegrał w tym dramacie. Chcąc ratować niewinnego Klemensa, spowodował śmierć swojego ukochanego szefa. Coraz częściej mówi o porzuceniu swojej służby, pomimo szczerych pochwał i uznania, jakich mu nie skąpią jego przełożeni.

KONIEC.

OD REDAKCYI.

W następnym numerze rozpoczynamy w naszem piśmie druk **niesłychanie sensacyjnej powieści na tle aktów sądowych, jednego z wybitnych pisarzy.**

Powieść ta, choć odnosi się do wypadków, znanych autorowi z roczników kryminalnych, różni się od mnóstwa innych tego rodzaju romansów, przedewszystkiem **prawdziwie literackiem opanowaniem i obrobieniem tematu,** logicznem i rozumnem rozwiązywaniem najzawilszych powikłań a wreszcie **pięknym językiem** przekładu. Co do fabuły powieści, to jest ona nadzwyczaj **interesującą**, pełną momentów prawdziwie **dramatycznych** i wiążących uwagę czytelnika. Wolną jest natomiast od straszliwych okropności i nieprawdopodobnych sytuacyi, jakiemi przepełnione są najrozmaitsze kryminalne powieści, pojawiające się dziś masami na rynku księgarskim.

Wobec tych zalet jesteśmy przekonani, że Czytelnicy nasi z wyboru naszego będą w zupełności zadowoleni i z zaciekawieniem będą śledzić bieg wypadków, w powieści tej przedstawionych.

Protest przeciw gwałtowi.

Echem wspaniałej manifestacyi słowiańskich posłów w parlamencie wiedeńskim, manifestacyi, zwróconej przeciw rządowi pruskiemu z powodu przedłożenia ustawy o wywłaszczeniu Polaków z ich odwiecznych siedzib, był cały szereg demonstracyjnych uchwał wielu bardzo poważnych instytucyi, rad miejskich, korporacyi, oraz zgromadzeń publicznych, zwołanych w miastach całego kraju. Między innemi zaprotestowała poważnie i stolica kraju, miasto Lwów, na wielkiem zgromadzeniu w ratuszu, gdzie zebrali się przedstawiciele wszystkich polskich stronnictw narodowych i pod przewodnictwem wybitnych działaczów publicznych uchwalili odpowiednie rezolucye.

Po zamknięciu obrad wiecowych, których przebieg był nad wyraz poważny, prawie wszyscy uczestnicy zgromadzenia podążyli w pochodzie z pieśnią narodową na ustach ku ulicy Mochnackiego, gdzie mieści się konsulat pruski. Policya, przeczuwając demonstracyę, obsadziła gęstym kordonem żołnierzy dostęp do owej ulicy i nie dopuściła publiczności przed dom konsula. Dzięki taktownemu zachowaniu się publiczności nie przyszło do poważniejszego zakłócenia powagi demonstracyi, której wrażenie też było prawdziwie imponujące.

☞ Zdjęcie fotograficzne, przedstawiające tłumną demonstracyę publiczności lwowskiej w ul. Mochnackiego, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Imponująca manifestacya: (Do artykułu na str. 8).



Poseł ks. dr. Krek. Poseł Hribar. Poseł dr. Kramarz. Poseł dr. Conci. Poseł Klofacz.

Obrabowanie kasy podatkowej.

Nadzwyczaj śmiałego i sprytnego włamania dopuścili się w nocy na 1 grudnia dwaj nieznani dotąd zbrodniarze w Borszczowie, w kasie tamtejszego głównego urzędu podatkowego. Dowcipni złoczyńcy wiedzieli, że wobec dzisiejszych stosunków pieniężnych, chyba tylko kasy urzędów podatkowych galicyjskich, mogą swą zawartością opłacić ciężką pracę włamania, obrali tedy za cel swej wyprawy urząd podatkowy w Borszczowie, gdzie istotnie znajdowało się podówczas przeszło 300.000 koron w gotówce.

Złoczyńcy dostali się do wnętrza urzędu przez okno, drzwi bowiem były za ciężkie, by je mogli otworzyć. Znalazłszy się w pokoju, gdzie mieściła się wielka i ciężka żelazna kasa, zabrali się do dalszej pracy, której rezultatem było przedziurawienie za pomocą specyalnych narzędzi drzwi kasy. Po otwarciu ich, oczom rzezimieszków przedstawił się wspaniały, a dziś bardzo rzadki widok. Stosy różnobarwnych banknotów, szeleszczących sympatycznie za dotknięciem ręką, rulony błyszczącego złota, całe stosy srebra — oto, co ujrzeli „pracowici“ rabusie. Nie namyślając się długo, poczęli ładować tymi skarbami swoje „złodziejskie“ przestronne kieszenie, biorąc zarówno banknoty, jak złoto i srebro, na które przygotowali specyalne woreczki. Dzień się zbliżał, musieli się więc spieszyć. I byliby pewnie uporali się z całą zawartością kasy, gdyby nie niegrzeczny woźny, który już około 5-ej rano nadszedł, aby zapalić w piecach urzędu i przybyciem swojem spłoszył rabusiów. Zdołali unieść zaledwie 140.000 kor.



Zdjęcie amatorskie I. A. Niemczewskiego w Borszczowie.
Obrabowanie Kasy podatkowej: Kasa głównego Urzędu podatkowego w Borszczowie, z której skradziono 140 tysięcy koron.

Woźny, zobaczywszy na drzwiach ślady złodziejskiej roboty, zaalarmował natychmiast poborcę, a następnie razem z nim aptekarza p. J. Niemczewskiego, mieszkającego w pobliżu. W chwili, kiedy dochodzili do drzwi urzędu, wyskoczyło przez okno dwu ludzi i znikło w sąsiednim ogrodzie. Z powodu ciemności nocnych i ślizgawicy nie podobna było ich doścignąć, to też ślad zbrodniarzy zaginął.

Przypuszczają, że śmiałego rabunku dopuścił się Dresler, znany amerykański włamywacz, którego przybycie do Europy sygnalizowano z Nowego-Yorku. Przypuszczenie to popierają narzędzia, pozostawione przy kasie, a opatrzone marką firmy amerykańskiej.

Najszybszy statek wodny.

(Do illustracyj na stronie 10).

Po udoskonaleniu środków komunikacyjnych na ziemi przez zbudowanie samochodów i w powietrzu przez wynalezienie balonu ze sterem, inżynierowie i technicy zwrócili uwagę swą na wodę, po której człowiek dotychczas mógł płynąć z bardzo nieznaczną szybkością. Poczęły pojawiać się coraz nowe motorówki, o coraz prostszej konstrukcyi, a natomiast silniejszym motorze. Przed kilku dniami na Lago Maggiore włoski inżynier Farlanini czynił próby ze swym najnowszym hydroplanem, który osiągnął niezwykłą szybkość 72 kilometrów na godzinę. Hydroplan ten ma formę podłużną, zbudowany bowiem jest na kształt zwykłego cygara, na powierzchni którego na zwykłem wzniesieniu osadzono śruby wiatrakowe. Motor, znajdujący się wewnątrz szkieletu hydroplanu, służy do poruszania skrzydeł, które odgrywają najważniejszą rolę w maszyneryi. Wynalazek Forlaniniego obudził niezwykłe zainteresowanie nie tylko w kołach technicznych, ale i aeronautycznych, hydroplan ten bowiem podczas najszybszej



Fot. p. Stenzel, Lwów.
Protest przeciw gwałtowi: Publiczność, demonstrująca w ul. Mochnackiego we Lwowie. W głębi po prawej oddział policyi konnej, poniżej policya piesza

jazdy wznosi się w powietrze i płynie zupełnie spokojnie nad powierzchnią wody. Szczęśliwe to połączenie balonu z łódką, ma doniosłe znaczenie dla żeglugi powietrznej i wodnej, rozwiązuje bowiem w ten sposób jedno z najtrudniejszych zagadnień mechaniki. Po próbach na Lago Maggiore, przystąpiono odrazu do budowania hydroplanu w wielkich rozmiarach, by sprawdzić, czy wynalazek ten będzie miał znaczenie nie tylko teoretyczne, ale i praktyczne.

Z ŻYCIA DNIA

Żadne państwo na świecie nie cieszy się takim rozgłosem jak państwo doktora uniwersytetu oxfordzkiego. Niema miesiąca, aby się w niem nie wydarzyło coś takiego, co by nie wzbudzało najszerszego zainteresowania. Jeżeli z czegoś cały świat się śmieje, jeżeli coś cały świat swą potwornością zdumiewa, jeżeli na coś cały świat pluje, to z pewnością to coś urodziło się nad Sprewą. Dzięki dostojnikom dworskim i wojskowym doktora prawa uniwersytetu oxfordzkiego, wszystkie lądy zamieszkałe, a czytać umiejące, miały przez cały październik wesołą hardenowsko-moltkowską zabawę. Po tej farsie ministeryum tegoż doktora prawa wystawiło w listopadzie dramat p. t. „Wywłaszczenie“, który przejął do głębi uczuciem oburzenia wszystkie ludy umysłowo i etycznie poczytalne. Krytyką tego dramatu zajmują się wszystkie pióra uczciwe, a na zbiorową krytykę zdobył się parlament austryacki.

Kronikarz „Nowości“ ma obowiązek ten fakt zanotować, ale nie potrzebuje się nad nim rozwodzić, bo go już uprzedziły i wyręczyły wszystkie nasze dzienniki. Cóż zresztą mógłby dodać do napiętnowania tych środków barbarzyńskich, przynoszących hańbę ludzkości i cywilizacyi, które rząd pruski chce zastosować do Polaków, aby im wydrzeć z pod nóg ziemię ojczystą.

Ale (proszę mi darować) z tych wszystkich napiętnowań niewiele będzie pożytku. Ulżymy sobie, ten i ów się wygada, ten i ów ładny frazes ułoży i wypuści, dostanie za to oklaski — i na tem koniec. Niemcom to nie zaszkodzi, a nam nie pomoże. Jedyny protest roznmny, to hasło bojkotowania Niemców, hasło nienapychania im kieszeni i hasło tępienia u nas niemczyzny. Ale (Boże drogi!) te hasła były u nas głoszone, a rezultat ich zawsze był taki maleńki, że zaledwie przez lupę możnaby go dojrzeć. Słowa: *nie kupujmy towarów niemieckich!* — rozlegają się ciągle, a potężniej co kilka lat po każdem łajdactwie pruskiem i gdyby każde takie słowo wypowiedziane lub wydrukowane pozbawiło Prusaków choćby jednej marki zarobku, to przez ten czas trzydziestoletni, kiedy te słowa słyszymy głoszone prywatnie lub publicznie, straciliby Prusacy kilkaset milionów marek. To nie żadna przesada. Przynajmniej sto dzienników i innych pism peryodycznych powtórzyło to hasło, lekko licząc po 100 razy, a więc ukazało się ono w druku 10.000 razy — ponieważ zaś przeciętnie każde pismo wychodzi w 5000 egzemplarzy, więc 50 milionów razy czarno na białem było to hasło wydrukowane — a że każdy numer pisma czyta znów przeciętnie 5 ludzi, zatem dojdziemy do 250 milionów. Drugie 250 milionów razy hasło to zostało ustnie wypowiedziane. Gdyby więc skutek każdego takiego słowa wyraził się w kwocie jednej marki. Prusacy straciliby dotychczas 500 milionów! Może znowu komuś się wyda, że to przesada, bo skądżebyśmy aż tyle im utargować dali. Prawda, że niemam przed sobą dat statystycznych i wątpię, czyby można nawet dojść do nich, ale nie wątpię, że corocznie w Wielkopolsce, w Galicyi i pod zaborem rosyjskim Prusacy sprzedają swego towaru conajmniej za 30 milionów marek, co w ciągu lat 30 wyniosło około miliarda — 500 milionów byłoby zatem dopiero połową tej sumy.

Nam nawet na myśl nie przychodzi, ile za różne „drobiazgi“, nie mówiąc o „wielkich towarach“, Prusakom płacimy i to za drobiazgi, których bynajmniej od nich brać nie potrzebujemy. Oto takiego np. Odolu, płynu do płukania ust, jeżeli nie gorszego, to z pewnością nie lepszego, niż wszystkie inne w tym celu wyrabiane (płyn np. profesora Cybulskiego, nasz własny, ma daleko więcej wartości) sprzedaje się corocznie w samej Galicyi kilkadziesiąt tysięcy flaszek. Albo pasta na obuwie berlińskiej firmy Globus. tak zwana Globina. Fabrykant jej zamówił niedawno 3 miliony pudełek blaszanych na eksport do Austryi, z czego 750 tysięcy kazał wykonać z napisami polskimi, a więc dla Galicyi. A przecież takiej samej doboci mamy pasty wiedeńskie, czeskie i... nasze własne krajowe. Za samo „glancowanie“ więc butów i trzewików naszych, zapłacimy Prusakom 300.000 koron!

Otóż należałoby sobie życzyć, aby to hasło bojkotowania towarów pruskich nie było dalej, jak dotychczas, czczą gadaniną. Gadamy, krzyczymy, a kupcy wciąż sprowadzają towar pruski i my go kupujemy. Nie na każdym zresztą jest podane skąd pochodzi — a choćby był napis, to go można wyskrobać lub zalepić. Chcąc akcyę dobrze poprowadzić, potrzeba koniecznie stworzyć kontrolę. Powinno się zawiązać jakieś stowarzyszenie, którego zadaniem będzie ostrzeganie publiczności i piętnowanie tych kupców, co kupczą swem sumieniem, swym obowiązkiem względem społeczeństwa. Tu nie powinno być żadnych kompromisów, żadnej litości. Należy zastosować najskrajniejszy ostracyzm: ogłaszać z imienia i z nazwiska każdą firmę, sprowadzającą pruskie towary, i odwracać się od niej, jak od zapowietrzonej.

Ale choć dzwonię na to kazanie, to wątpię, abym je usłyszał. Pogadamy na ten temat jeszcze z miesiąc, wniesiemy parę setek protestów, nakiwamy Niemcom palcem w bucie, w tem nadejdą jakie wybory, zapomnimy o wszystkiem i zaczniemy się kłócić, czy Gawła czy Pawła zrobić posłem, radcą lub jakim innym dygnitarzem. U nas każdy entuzyazm jest na krótką metę.

Pamiętacie np. jakie hołdy oddawaliśmy Siemiradzkiemu, kiedy ofiarował swe „Pochodnie“ naszemu miastu i dał przez to początek Muzeum Narodowemu. Nazywaliśmy go najpierwszym mistrzem, stawialiśmy go wyżej Matejki. Potem drugi entuzyazm, kiedy namalował ową śliczną kurtynę do naszego teatru, namalował prawie za darmo, bo pracował nad nią lat parę, a to co dostał, zaledwie może wróciło mu koszta. Urządziliśmy mu też wspaniały pogrzeb, sprowadziliśmy go na Skałkę. Obecnie „Pochodnie“ wiszą sobie, ale nie na honorowem miejscu, które im słusznieby się należało, a kurtyna niezadługo należeć będzie do... wspomnień historycznych. Nie jestem fachowcem, ale ci, co się na tem znają, twierdzą, że gdyby ona była nawet ze stali, to musiałaby się popsuć, wytrzeć, przez ciągłe wysuwanie i podnoszenie. Wiemy, że coś „zaciekało“, że porobiły się przez to na niej znaczne uszkodzenia. Następnie fachowcy podnoszą i to, że jako malowana farbami woskowemi, które nie wysychają. lecz są zawsze lepkie, staje się ona pastwą kurzu, którego w teatrze nigdy nie brak i który też ją gryzie, gryzie, aż całkiem zgryzie. To też kurtyna już dziś przedstawia obraz nędzy i rozpaczy — takiego nieuszanowania dzieła sztuki nie było chyba przykładu. Możeby więc zawiązać jaki komitet „ochrony kurtyny“. Ktoś. z kim o tem mówiłem, radził, aby zrobić jej kopię i niech tę kopię sobie kurz gryzie, niech na tej kopii woda żłobi sobie zacieki — a oryginał powinien znaleźć miejsce w Muzeum Narodowem. Powtarzam tę myśl, może nią się zaopiekuje jaki radca miejski, jaki mecenas, może panowie konserwatorzy dzieł sztuki przypomną sobie, że kurtyna to nie kawał powalanego farbą płótna, ale także dzieło „sztuki“ i że ją konserwować należy, zanim się stanie ruiną.

A propos naszych „entuzyazmów“ nie mogę zapomnieć o tych telegramach, które się sypią do posła Kramarza za jego wystąpienie w sprawie wywłaszczeń. W jednym z nich nazwano go „obrońcą Polski“. Otóż mam pewne wątpliwości, czy przy takich obrońcach Polska zostałaby obronioną. Bo p. Kramarz dotychczas nigdy nie odznaczał się wielką dla nas już nie miłością, ale sympatyą. Najsroższe prześladowania, doznawane przez nas w innych stronach, nietylko go nigdy boleśnie nie dotykały, ale należał do tych, co im dawali pełną aprobatę. W Austryi całkiem nas nie kocha. Jeszcze przed rokiem pamiętamy, jak się „załapał“, kiedy się odezwał, że Niemcy austryaccy pogodzeni z Czechami mogą o nas nie dbać, jak radził, aby przy reformie wyborczej do Rady państwa skrzywdzić Polaków. Że pan Kramarz, jako kramarz, skorzystał z nikczemności pruskiej, aby upiec swój interesik, aby dokuczyć Prusakom i wygrać swą wszechsłowiańską melodyę, to było z jego strony bardzo zgrabne i polityczne. Możemy się cieszyć, że Prusak i z tej strony dostał po palcach, ale nie bądźmy naiwni i nie sądźmy, że p. Kramarz chce być „obrońcą Polski“.

Naiwnością wogóle aż nadto grzeszymy nawet w drobiazgach. W kilku pismach warszawskich czytam artykulik zatytułowany: „Czy to możliwe?“ Przytaczam go w całości: „Ożeniony z Ludwiką Saską, pianista Toselli ogłasza w „Giornale d'Italia“ list do redaktora tegoż pisma, donosząc, że miał odbyć podróż po Rosyi i rozpocząć ją od Warszawy. Na przeszkodzie stanęła okoliczność, o której Toselli pisze: „Ale wyobraź pan sobie, że niejaki p. Rajchman, dyrektor Filharmonii warszawskiej, zaproponował mi za pośrednictwem mojego agenta w Medyolanie, ażeby na tych dwóch koncertach s i e d z i a ł a n a p r z o d z i e e s t r a d y m o j a ż o n a. Pan jesteś człowiekiem serca i szlachcicem, to pojmujesz, jakim bólem przejęła mnie ta propozycya. Żałuję mocno, że istnienie tego człowieka pozbawiło mnie możności przedstawienia mego talentu muzykalnej i inteligentnej publiczności polskiej“.

„Wiadomość ta — dodają warszawskie dzienniki — wydaje nam się tak nieprawdopodobną, że jeszcze raz zapytać musimy: czy to możliwe?“

A my pytamy się, czy to możliwe, aby tę wiadomość uważać za nieprawdopodobną? Dla nas jest niemożliwem przypuszczenie, aby podobna propozycya ze strony p. Rajchmana była niemożliwą. My się nawet dziwimy, że nie chciał np., aby po każdym „kawałku“ pan koncertant został publicznie uściskany przez panią Ludwikę *primo voto* Saską, *secundo* Gironową, *tertio* Tosellową. To byłoby zupełnie w stylu rajchmanowskim.

Kącik humorystyczny.

W kasarni.

Podczas tak zwanej szkoły, pyta podoficer szeregowca:

— Jakim powinien być żołnierz?

— Powinien być dobrym patryotą austryackim — odpowiada szeregowiec, sądząc, że zasłużył na pochwałę.

— Głupiś — woła podoficer. — Czy ty jesteś posłem do parlamentu? Powinien być wymyty i wypucowany. Rozumiesz?

Z egzaminu.

Profesor (do kandydata, który na żadne pytanie nie odpowiedział). Może mi kandydat przynajmniej powie, co on tu przy egzaminie robi...

Kandydat (milczy).

Profesor. Proszę mi w każdym razie wybaczyć to pytanie, bo na nie *ja sam nie mogę odpowiedzieć*.

Pantofel.

Pan do stangreta, który zaprzęga konie:

— Janie, a gdzie pani jedzie?

— Do teatru.

— A nie wiesz, czy mnie weźmie ze sobą?

Nęcące.

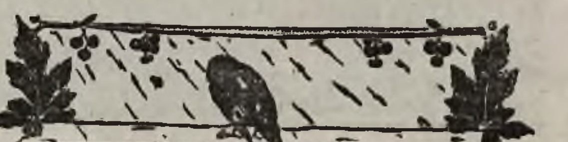
Matka narzeczonej (prowadząca biuro sług):

— Gotówki mojej córce wprawdzie w posagu dać nie mogę, ale mogę jej dać odrazu trzy służące!

Nieporozumienie.

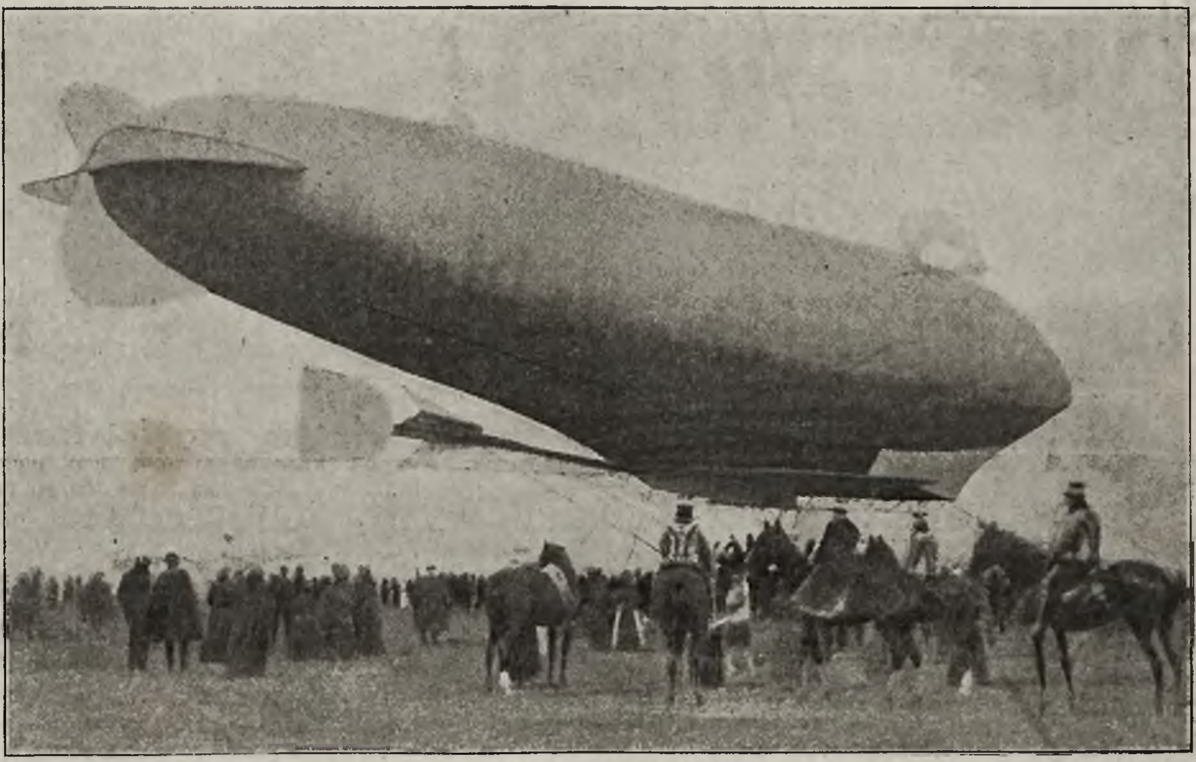
Ojciec (do konkurenta) Co? Żenić się chcesz z moją córką, młodzieńcze? A potrafisz ty wyżywić rodzinę?

Konkurent (skromnie). Przepraszam! ale ja chcę się żenić *tylko z córką, a nie z całą rodziną...*



Ucieczka balonu.

We Francyi zdarzył się przed paru dniami niebywały wypadek porwania przez burzę balonu, który stanowił istotną chlubę armii francuskiej. Z całej powodzi balonów ze sterem, jakie pobudowano w bieżącym roku w różnych państwach, pierwsze miejsce zajmował najwspanialszy i najszybszy balon francuski „Patrie“. Niedawno odbyto na nim podróż z Paryża do Verdun w niecałych siedmiu godzinach. Podróż ta obudziła zazdrość w Niemczech, okazało się bowiem, iż „Patrie“ posiada daleko lepszy motor niż niemiecki „Parcival“. Szczyciła się też Francya swoim statkiem powietrznym gdy naraz silna burza rozwiała naraz wszystkie nadzieje, jakie do swej „Ojczyzny“ przywiązywała. W powrotnej drodze z Verdun, mechanik balonu zbliżył się nieostrożnie do trybów maszyneryi, które pochwyciły kawałek jego bluzy skórzanej i rozszarpały ją. Skutkiem tego nastąpiło uszkodzenie motoru i balon dla naprawy musiał wylądować pomimo silnej burzy. Ponieważ wiatr groził porwaniem balonu, zawezwano z pobliskich koszar żołnierzy, by trzymali na linach balon podczas naprawy. Z coraz wzmacniającą się burzą pasowało się dwustu żołnierzy, którzy poprostu opadali ze zmęczenia, a nie było kim ich zastąpić. Naraz zerwał się szalony orkan, jakby trąba powietrzna, która poczęła pędzić naprzód balon z trzymającymi go żołnierzami. Przez czterdzieści metrów wiatr pędził ich po ziemi, aż balon wyrwał się z rąk słabnących żołnierzy i poszybował w górę. Wkrótce „Patrie“ zniknęła z oczu w tumanach kurzu i zbliżającym się mroku wieczornym. Wiatr dął ze szybkością 80 kilometrów na godzinę przy ciągle zmieniającym się kierunku, nie można więc nawet określić, w którą stronę poszybowała „Patrie“, ani też kiedy opadnie na ziemię. Automatyczne wentyle otwierają się tylko przy bardzo silnem ciśnieniu, a że powłoka balonu jest bardzo szczelna, „Patrie“ może przebywać w powietrzu przeszło dwie doby. O wypadku tym zatelegrafowano na wszystkie strony, nigdzie jednak nie natrafiono na ślady balonu, z Londynu tylko sygnalizowano, iż danego wieczoru jakiś balon ze sterem pędził z szaloną szybkością ku północnemu zachodowi. Stratę tego balonu silnie odczuwają sfery wojskowe Francyi, bo nie łatwo będzie zbudować drugą „Patrie“.



Ucieczka balonu: Żołnierze, otoczeni tłumem ludzi, usiłują przytrzymać rwany wiatrem balon »Patrie«.



Ucieczka balonu: Balon »Patrie« szybujący w powietrzu, po wyrwaniu się trzymającym go.

Zagadki do nagrody

Szarada.

I.

Ułożył Henryk Pianowski.

Gdy *pierwsza* wreszcie zapadnie na bory,
W tej chwili *drugi* wymyka się z nory,
By zaspokoić głód, gnębiący srodze
I drapieżności swej popuścić w drodze.
Wtedy *druga z szóstą* ale po łacinie,
Z bogactwa drzewa, jak wiadomo słynie.
Zaś *czwarta-czwarta* ojca nosi miano,
A dzieci m matom zwykle bywa znaną.
Piąte przyimek, a zaimek *trzecie*,
Oto i szarady koniec mamy prawie —
Cała w poezyi przyzwodzana słowa,
To nasza polska — tragedya dziejowa.

Szarada.

II.

Pierwsza z drugą to nazwa dawana komnacie,
Która służy dla licznych gości i ku zabawie.
Druga z trzecią nazwisko pani, która znacie
Z »Emancypantek« Prusa *czwarta* też prawie
W środku alfabetu. *Całość* przyrząd taki,
Na którym nam podają przyprawy, przysmaki.

Zagadka.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

Wypisać tytuły powieści niżej podanych autorów tak, aby litery początkowe dały imię i nazwisko jednego z powieściopisarzy polskich

Orzeszkowa, Wilkońska, Kraszewski, Kosiakiewicz, Kaczkowski, Dygasiński, Gruszecki, Junosza, Jeż, Rodziewiczówna, Korzeniowski, Gawalewicz, Zacharyasiewicz, Kowerska, Rogosz, hr. Łoś

Logogryf.

Ułożył Henryk Pianowski.

Początkowe litery czytane z góry na dół, dadzą utwór poety, pomieszczonego w pierwszym wierszu.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ . . . .
■ . . . .
■ . . . . . .
■ . . . . .
■ . . . .
■ . . .
■ . .
■ .
■

Znaczenie wyrazów: 1. ? 2. Pułk szkocki, który się odznaczył w wojnie z Burami 3. Kraj w Afryce 4. Inaczej zrzęda. 5. Imię słowiańskie 6. Poeta z czasów Nerona. 7 Wulkan w Europie. 8 Rzeka w Afryce. 9. Nazwa pokładu ziemi. 10. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek, przeznaczamy powieść W. Sclavusa pt. »Nihiliści«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 47.

Arytmogryf.

Długosz.

Zagadka.

Adolf Mostowski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: E. Bogdalska Koropuż, A. Kulwieć Kraków, K. Fuchs Czeremchów, R. Jaworski Lwów, C. Pieniążek Zürich, F. Kalita Gawłuszowice, M. Opolska Czarny Dunajec, Małaczyński Pikułowice, J. P. z Zagłębia, I. Dık Audrychów, J. Badora Rozdzień, F. Niepokój Krosno, M. Arbesbauer Lwów, S. Jarociński Zürich, M. Bobowska Jazłonów, E. Mayer Milatyn nowy, Grabowska Barwałd.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Małaczyński w Pikułowicach; prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Telefon 43. **KRAKÓW** Telefon 43.

Magazyn HENRYKA SCHWARZA Grodzka 13

wełny, jedwabie, okrycia, żakiety, kostyumy, bluzki, halki.

Nowo otworzona z największym komfortem urządzona pierwszorzędna

RESTAURACYA I POKÓJ DO ŚNIADAŃ

ADOLF A. KOSKE, Lwów, ulica Jagiellońska 16
Znakomita kuchnia, wyśmienite trunki, najlepsze wina.
Skoztna obsługa.
O łaskawe odwiedziny Szan. P. T. Gości najuprzejmiej upraszam.

GRANICA

Stacya kolei W.-W. Ruble, austryackie korony, franki, marki itp. sprzedaje i kupuje najkorzystniej dla pasażerów **Specyalny Kantor wymiany** wszelkich monet **WŁADYSŁAWA HERTZA** na stacyi »GRANICA«. Pociągi tak przychodzące jak i odchodzące zatrzymują się przeszło godzinę. Kantor znajduje sie w westybulu dworca naprzeciw kas biletowych stacyi »GRANICA«.

Dolegliwości

reumatyczne, nerwowe, powstałe skutkiem przeziębienia, przeciągów, febryczne przypadłości usuwa od nas niezawodnie fluid Fellera z marką „Elsa-Fluid“ Próbny tuzin 5 K franko. — Zamawiać u E. V. Fellera w Stubicy, Elsaplatz Nr. 127 (Kroatien). Kaz.

Kobiety! Zatrzymanie menstruacyi leczy: **P. Zierwas, w Kalk** (koło Köln) Nr. 264 Pani G. w M. pisze: **»Pański środek szybko pomógł.«** Marka na odpowiedź pożądana!

23—51 **Do zawierania** 1—21 (1907)

ubezpieczeń życiowych, posagowych, na renty ludowych i dla dzieci pod nader korzystnemi warunkami i niskiemi premiami nadaje się najbardziej

„ALLIANZ“

Akc. Towarzystwo ubezpieczeń na życie i renty

Fundusze gwarancyjne po dzień 31 grudnia 190 r. Kor. 11.013,456.42.
Stan ubezpieczeń po dzień 31 grudnia 1906 r. 283.342 osób z kapitałem
89,000.000 Kor.
Ogółem wypłacona kwota od założenia Towarzystwa około Kor. 8.000.000.
Prospekta, taryfy rozsyła, tudzież bliższych informacyi udziela:
„ALLIANZ“ Akcyjne Towarzystwo ubezpieczeń na życie i renty.
Główna Agencya: **Kraków, ul. Floryańska L. 10**
Szczególniejszej uwadze polecamy kombinacye ubezpieczeń połączone z prawem poboru renty, tudzież ubezpieczenia z rocznym do 3% (od 87%) wzrastającym zagwarantowanym opustem odsetkowym.
Osobny dział ubezpieczeń ludowych z wkładkami tygodn. od 10 h. począwszy.
Zdolni i ruchliwi zastępcy poszukiwani.

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 516



Kraków Hotel Saski Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny



Skład Bielizny, Kapeluszy,
Obuwia amerykańskiego
i przyborów do podróży.

Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Nowe albumy sławnych malarzy zawierające po 20 reprodukcyj w pięknej oprawie (wielkość 27 X 35 cm.) a mianowicie:

Album Dürera
„ Van Dycka
„ Murilla
„ Rembrandta
„ Rubensa
„ Rafaela
„ Velasqueza
„ F. Halsa
„ Tiziana.

Zamiast po K 6·—, tylko po K 1·80.
Wszystkie 9 albumy naraz K 15·—
Za poprzedniem nadesłaniem franko.

Galerye obrazów w albumach zawierających po 30 reprodukcyj najsławniejszych obrazów (w. 27X35 cm.) w pięknej oprawie, a mianowicie:

1-3 Król. muzeum w Berlinie, 3 rozmaite albumy
4. Król. galerya obraz. w Dreźnie
5. „ stara pinakoteka Monachium
6. „ galer. obraz. w Kassel
7. „ „ „ w Karlsruhe
8. Cesarska galerya obrazów we Wiedniu
9. Król. galerya Pitti i Uffizi we Florencyi
10. Louvre Paryż
11. Prado, Madryt
12. Ryksmuzeum, Amsterdam
13. Muzeum Haaga i Haarlem
14. Galerya narod. w Londynie
15. Cesarska Ermitage w Petersburgu.

Każdy album zamiast po 6 K, tylko po K 1·80. Wszystkie 15 albumy tylko K 25.

J. STAND
KSIĘGARNIA
Lwów, Batorego 22

DALMIOS

z watą „Salvesol«

Tutki cygaretowe egipskie, ozdobne — dla wybrednych smakoszy.

Palą się równo i lekko, nie czernieją, smak mają łagodny, nie spalają się szybko, wskutek tego **dym jest chłodny**, co jest **wielką zaletą** tutek cygaretowych.

Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć **zatrucia nikotyną**, winien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „SALVESOL“; pochłania ona nikotynę, a więc usuwa jej szkodliwe działanie

Oryginalny pakiecik „WATY SALVESOL“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

10 cygarniczek szklanych K 1·20
Pakiecik waty »Salvesol« 30 lub 60 hal.
1000 tutek cygaretow. »Dalmios« K 3·20

Wyroby te poleca:

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych
(1) **„NORIS“**
Mr W Bełdowski, Kraków

Złoty Medal na Wystawie hygieniczno-lekarskiej we Lwowie 1907



Pierwsza krajowa fabryka wózków dla dzieci oraz wyrobów koszykarskich i bamkusowych

A. KONIEWICZ, Lwów
ulica Batorego 12

Poleca **Wózki dla dzieci, Meble bambusowe, Ekrany, Parawany, Kosze do podróży, Koszyki do miasta i kwiatowe.**

Ceny fabryczne. 49—9 Illustrowane cenniki franco.

Kto zaprenumeruje »**BOCIANA**« na pół roku 1908 i przyśle 4 Kor. do centralnej Administracyi: Kraków, ulica Zacisze 7
otrzyma bezpłatnie jako premię wspaniały

KALENDARZ „BOCIANA“ NA ROK 1908

zawierający szereg doskonałych humoresek, poezyi, oraz ozdobiony znakomitemi illustracyami.

Fabryka Stanisława HOFA W KRAKOWIE poleca znakomitą: **HOFA** polską pastę do obuwia **HOFA** polską pastę do metali **HOFA** proszek do prania i mydło

których to wyrobów należy żądać we wszystkich handlach.

Hotel Victoria

Telefon 780 **Kraków, ulica Zwierzyniecka 6.** Telefon 780

piękne położenie, obok plantacyj, centrum miasta, 2 minuty od rynku, stacya tramwaju elektrycznego, nowo odrestaurowany i powiększony poleca pokoje umeblowane od K 1·— za dobę wraz z obsługą. Nowo otworzona **Restauracya i Kawiarnia.** — Posłaniec hotelowy do każdego pociągu. — **Łazienki w**

Hotelu Victoria

